

GEORGE G. RITCHIE

# POWRÓT Z JUTRA

wydane przez

Powrót do Natury  
Katolickie publikacje

80-345 Gdańsk-Oliwa ul. Pomorska 86/d  
tel/fax. (058) 556-33-32

Tytuł oryginału *Return from Tomorrow*  
Autor: George G. Ritchie i Elizabeth Sherrill  
Przetłumaczył: Jerzy Łatak



## S Ł O W O   W S T Ę P N E

Spoglądając wstecz na historię i rozwój filozofii, równie dobrze można by ją określić jako obsesję śmierci. Śmierć była i jest zagadnieniem podstawowym i głęboko rozważanym przez filozofów. Niech nas więc nie dziwi, że jako dwudziestoletni student filozofii byłem głęboko zaintrygowany, kiedy w roku 1965 dowiedziałem się o człowieku, który przeszedł śmierć kliniczną, doznał nieprawdopodobnych przeżyć w czasie, kiedy wypełniano formalności pośmiertne i ożył, ażeby o tym opowiedzieć. Ponadto człowiek ten w czasie, kiedy go poznałem, był powszechnie szanowanym lekarzem psychiatrii, z odbytą już czteroletnią praktyką w terapii ogólnej. Co więcej – był chętny do podzielenia się przeżyтыми wrażeniami. Nie trzeba przekonywać, że skwapliwie skorzystałem z okazji wysłuchania go, a to, co usłyszałem, wywarło na mnie głębokie, niezatarte wrażenie. Później dowiedziałem się również o innych podobnych przypadkach i rozpocząłem ich badanie.

Doktor psychiatrii nazywa się George Ritchie i w niniejszej książce opowiada o doznanych przeżyciach. Stanowią one jedną z trzech lub czterech, najwspanialszych i najlepiej udokumentowanych, znanych mi przypadków “śmierci”. Przeżycia doktora Ritchie i wielu innych, którzy znaleźli się w takich samych okolicznościach, nasuwają pytanie, czy rzeczywiście “zmarli”. Jeżeli przyjmie się definicję śmierci, która wydaje się całkowicie rozsądna – jako stan organizmu, w którym wznowienie jego funkcji jest niemożliwe – to żaden z tych ludzi nie zmarł. Jakkolwiek cała ta sprawa finalnego diagnozowania śmierci jest nie wyjaśniona, właśnie teraz jest wiele kontrowersji wśród specjalistów. Uważam, że dr Ritchie i jemu podobni zbliżyli się do śmierci znacznie bliżej niż cała reszta żyjących ludzi. Choćby z tego jednego powodu, zawsze chętnie będę słuchał tego, co mają inni do opowiedzenia. Jest też inne pytanie, które odnosi się do doznanych przeżyć, mianowicie: jaki ona wywarła wpływ na tych, którym się to przydażyło. Jak to się w niniejszej książce okaże, w przypadku dr. Ritchie, wydarzenie to miało zasadniczy wpływ na jego życie. Tylko my, którzy żyjemy z nim w bliskiej przyjaźni, możemy prawdziwie ocenić głębię dobroci, zrozumienie i troskę wpływającą z miłości do drugich, która charakteryzuje tego niezwykłego człowieka.

Z tą uwagą niech mi będzie wolno zakończyć przedstawienie mojego przyjaciela George’a. Mam nadzieję, że przez tę książkę również wy go poznacie i pokochacie, jak uczyniła to moja rodzina i ja.

Dr RAYMOND A. MOODY  
autor książki *Życie po życiu*

## ROZDZIAŁ I

Przybyłem do pracy wcześniej, jak to zwykle lubiłem robić, żeby mieć jeszcze parę spokojnych minut przed przyjściem pierwszego pacjenta. Rozglądałem się dokoła po jeszcze zaciemnionym pokoju – biurko, wygodne krzesło, żółta sofa naprzeciw okna. Odczuwałem głęboką satysfakcję z pracy w charakterze psychiatry. Podczas moich trzynastu lat pracy doktora medycyny często miałem odczucie leczenia tylko części osoby, mając do czynienia raczej z objawami choroby niż z samą chorobą.

W Szpitalu Pamięci w Richmond w Virginii, gdzie leczyłem, nie było czasu, aby bliżej poznać pacjenta. Nie było czasu, aby wysłuchać lub zadać pytanie, poza formalnymi pytaniami o stan zdrowia pacjenta. To też, mając lat czterdzieści, podjąłem studia na nowo. Nie było łatwe, zaproponować żonie opuszczenie Richmond i przeniesienie się do Charlottesville, wypisać dzieci ze szkoły, zrezygnować ze stanowiska dyrektora Akademii Leczenia Ogólnego w Richmond i po wielu latach podjąć na nowo studia, na nowo się urządzić. Lecz w ciągu dwunastu lat po podjęciu tej decyzji, byłem z tego wielokrotnie bardzo zadowolony, a szczególnie, kiedy w ciszy i spokoju rozpoczynałem swój dzień pracy.

Otworzyłem notatnik leżący na biurku i przeleciałem wzrokiem umówione spotkania na dzień dzisiejszy. Milared Brown, Peter Jones, Martin Jone, i tu się zatrzymałem. Moim pierwszym pacjentem po obiedzie był Fred Owen. Przypomniałem sobie, że wczoraj opuścił on klinikę uniwersytecką. Jego lekarz poinformował mnie w zeszłym tygodniu, że jest to rak płuc z przerzutami do mózgu. Wiedziałem już wcześniej, że Fred musiał umrzeć na raka płuc. Podejrzałem to już pięć miesięcy wcześniej, kiedy pierwszy raz przyszedł do mnie z objawami ostrej depresji. Depresja, przerywany kaszel, bezustanne palenie nawet w czasie spotkania, wszystko to spowodowało, że skierowałem go na kompletne badania do Uniwersyteckiego Szpitala w Charlottesville. Widocznie jednak Fred nigdy tam nie był. Trzy tygodnie temu moje podejrzenie wzrosło. Postanowiłem go sprawdzić. Tu w moim gabinecie nie miałem oczywiście należytego wyposażenia, posłużyłem się stetoskopem, co jednak wystarczyło.

Teraz o pierwszej po południu powinien tu być. Czy możliwe jest, żebym mógł mu pomóc w obliczu jego bliskiej śmierci? Wprawdzie uczynił on ogromny postęp w ostatnich miesiącach leczenia, ale wiele zostało jeszcze do zrobienia. Czas, przede wszystkim czas, był niezbędnie potrzebny, lecz właśnie czasem Fred już wkrótce miał nie dysponować. Co więcej, ten złośliwy rak zaatakował teraz, kiedy miał nieco po czterdziestce. Mogło to wydawać się mu zaprzeczeniem wszystkich wysiłków, jakie dokonał. Jedno było dla niego jasne. Wszystko sprzyściło się przeciw niemu już od urodzenia. Kłopot jednak w tym, że Fred nie był wcale zły... Od czasu kiedy matka go zaniedbywała, przez następstwa powodowane przez szefów, którzy go wyeksploatowali, i nieszczęśliwego małżeństwa – doszedł do nieudanych stosunków rodzinnych. Poprawa jego zdrowia była naszym celem. Na początku, zaczynając od zaufania mi, pierwszy raz w swoim życiu zetknął się z przyjaźnią i teraz musiał umrzeć! Ostatecznie los został przypieczętowany, co było zresztą powodem szachrajskiej gry, jaka prowadzona była z nim od samego początku. Spośród innych zapowiedzianych wizyt tego ranka moja uwaga skupiła się głównie na Fredzie. W czasie lunchu kanapkę zjadłem w gabinecie na wypadek, gdyby przyszedł wcześniej. Lecz minęła pierwsza, pierwsza piętnaście, a Freda nie było widać. Zjawił się o pierwszej trzydzieści pięć. Pierwszy raz od pięciu miesięcy się spóźnił.

– Nie będę w stanie zapłacić – powiedział, nim zdążył usiąść. – Porzuciłem dziś pracę – mówiąc to, machnął ręką. – Chcieli, abym został, aż znajdą kogoś na zastępstwo, ale dlaczego miałbym coś takiego dla nich zrobić. Doktor daje mi cztery miesiące życia! – Podeszedł i oparł się na krzesło, próbując jeszcze uśmiechnąć się. – Czy to nie kawał doktorze? Wszystkie te niepowodzenia to przeszłość, w przyszłości będę działał lepiej, tylko że teraz ja już przyszłości nie mam! Te rozmyślenia o ułożeniu poprawnego współżycia z moją matką i z moją żoną to teraz tylko strata czasu, prawda?

– Przeciwnie – odrzekłem. – To jest bardziej pilne teraz niż kiedykolwiek przedtem. Twoja przyszłość zależy bardziej, niż ci się wydaje, od tego, z jakim powodzeniem zdołasz te wzajemne stosunki ułożyć.

Spojrzał na mnie zdziwiony. – Moja przyszłość? Mówiłem ci, oni dają mi cztery miesiące, co prawdopodobnie znaczy cztery tygodnie, ponieważ doktorzy kłamią jak nikt inny. Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby to warte było zachodu.

– Ja nie mówię o czterech miesiącach, czterech tygodniach czy czterech latach. Ja mówię o przyszłości, która nie ma wymiaru.

Jak przesuujące się przede mną drzwi, ujrzałem otwierające się jego oczy.

– Czy ty mówisz o... niebie i piekle? Daj spokój, doktorze!

Próbowałem utrzymać ton – “do licha z tym”. Mogłem jednak zauważyć, że go tym rozzłościłem. Nasza przyjaźń budowana była powoli, całymi tygodniami, na porozumieniu co do mojej otwartości w stosunku do niego. To było bardzo ważne, często powtarzał, że jestem pierwszą osobą, która nigdy nie próbowała go oszukać.

– Nigdy nie pomyślałem, że od ciebie to usłyszę. Jeśli chciałbym posłuchać kiedyś tego kalamburu o życiu bez końca po śmierci, to szedłbym tam, gdzie mi obiecywali skrzydła, harfę i coś tam jeszcze.

Nabrał głębokiego oddechu, starając się dobrać właściwe słowa, a przynajmniej nie złe. Wiedziałem dobrze z jego wcześniejszych opowiadań, że nawet napomknięcie o religii było dla niego klątwą...

Jego okrutni rodzice, którzy uważali się za pobożnych przez to, że chodzili systematycznie do kościoła, przekonani byli, że biciem wychowuje się dzieci.

– Nie wiem nic o harfach i skrzydłach – powiedziałem. – Mogę ci jedynie powiedzieć, co sam widziałem po... – przerwałem w obawie, czy jakieś niebezpieczne słowo nie zerwie wybudowanego między nami zaufania. Po tym, jak zmarłem, powiedziałem w końcu, co miałem powiedzieć. Lecz był to człowiek, który lubił kłamać. Toteż w jego oczach mogłem wyglądać teraz jako wyjątkowo udany kłamca.

– Fred – rozpocząłem z wahaniem. – Był czas, że doktorzy zrezygnowali również z uratowania mnie. Uznano mnie za zmarłego – przykryto prześcieradłem. Fakt, że dziesięć minut później zostałem przywrócony do życia, żeby pozostać nieco dłużej na tej ziemi, jest dla mnie sprawą marginesową tych wspianiałych wydarzeń. – Posłuchaj Fred – jest to tak piękna sprawa, że chciałbym ci to opowiedzieć.

Fred wyciągnął z paczki papierosa i zapalił drżącymi rękoma.

– Chcesz, żebym uwierzył, że masz jakąś tam możliwość wejrzenia w przyszłe życie? To, co masz zamiar powiedzieć, czy to nie jest... Zresztą to nie ma znaczenia, gdyby to miało być nawet zwykłe, wszawie oszukaństwo, bo wszystko i tak się wkrótce skończy.

– Nie proszę, żebyś mi w cokolwiek uwierzył. Po prostu mówię ci, w co ja wierzę i wcale nie mam pojęcia, jak to przyszłe życie będzie wyglądać. To co widziałem, to było tylko spojrzenie z wejścia i tyle mogę powiedzieć. Lecz to wystarczy, żeby mnie przekonać całkowicie o dwóch rzeczach. Po pierwsze, że nasza świadomość nie ulega przerwaniu z chwilą fizycznej śmierci, a właściwie to staje się ona bardziej ostra. Po drugie, że to, jak żyjemy tu na ziemi, jakie wytwarzamy wzajemne stosunki między sobą, ma dużo większe znaczenie, niż możemy sobie wyobrazić.

Po paru minutach Fred był zbyt zły na mnie, żeby mi patrzeć prosto w twarz.

– Jeżeli byłeś tak chory, jak przypuszczasz – pytał, patrząc w brązowo-zielony dywan, jak mieć pewność, że nie miałeś *delirium tremens*?

– Ponieważ, Fred, to było najbardziej realną rzeczą, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła. Od tego czasu miałem możliwość studiowania snów i halucynacji. Miałem pacjentów, którzy mieli halucynacje. Nie ma tu żadnego podobieństwa.

– To znaczy, że uczciwie wierzysz, że my... że my będziemy... że znaczy się później...?

– Mogę ci przysiąc na moje życie, że wszystko, co robiłem przez ostatnie trzydzieści lat: stanie się doktorem psychiatrą, społeczna praca z młodzieżą każdego tygodnia – wszystko to odnosi się do tego wydarzenia. Nie wierzę, żeby *delirium tremens* mogło pokierować moim życiem.

– *Delirium tremens* nie – przyznał. – Ale jeżeli to była chwilowa utuda?

– Czy ty myślisz, że jestem wariatem? – Śmiałem się, ale pytanie mnie do tego uprawniało.

Obłąkanie najlepiej mu to wszystko wyjaśniło.

– Twardo stawiasz tę sprawę Fred. Nie przypuszczam, aby ktokolwiek był pewny, że postępuje rozsądnie. Tak czy owak to było to, co mnie tak bardzo pociągało, że zacząłem studiować na Uniwersytecie w Virginii. Po to, żeby praktykować jako psychiatrę. Stałem tam, przed komisją znakomitych naukowców, każdy z nich zadawał mi różne pytania. Ponieważ przeżył, jakie mi się przydarzyły – przypadek śmierci, to co

się następnie stało, było sentencją tego, w co bardzo wierzyłem – czułem, że muszę im to opowiedzieć i opowiedziałem. Co o tym znakomici doktorzy myśleli – nie wiem, lecz każdy z nich orzekł, że jestem zarówno zdrow, jak i emocjonalnie zrównoważony.

– Dowodzi to, że doktorzy są głupcami – rzekł Fred, lecz uśmiechał się po raz pierwszy, od kiedy tu wszedł. Wiedziałem, że jakkolwiek z rezerwą, gotowy jest jednak mnie wysłuchać.

Historia ta była jednak zbyt długa, żeby mu ją opowiedzieć w czasie jednego czy nawet dwóch seansów, ale czułem, że pomimo tego warto poświęcić na to czas. Fred był tym typem człowieka, któremu nie potrzebna była moja własna interpretacja.

Mógł wysłuchać wszystkich faktów po kolei, a następnie uformować własną opinię.

– Nie zamierzam przedstawiać ci moich wniosków, Fred. Po prostu chcę ci opowiedzieć wszystko po kolei, od momentu przyjęcia mnie do szpitala wojskowego. Później możemy o tym porozmawiać.

– Szpital wojskowy? – zapytał Fred. Poprawił się na krześle. – Przecież to było w czasie drugiej wojny światowej, czy nie tak? Czy to znaczy, że byłeś postrzelony?

– To było w czasie wojny, ale to nie kula mnie powaliła.

Uśmiechnąłem się szeroko, sięgając do pamięci. To była pogoda w zachodnim Texasie.

## ROZDZIAŁ II

Przymknąłem oczy, sięgnąłem pamięcią trzydzieści cztery lata wstecz. Przypomniałem sobie długą jazdę pociągiem z Virginii do Abilene w Texasie, razem z setkami młodych rekrutów takich jak ja, opuszczających dom po raz pierwszy. Urodziłem się i wychowałem w Richmond. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nigdzie nie ma tak dużo drzew jak u nas.

– Było to we wrześniu 1943 roku – zacząłem. Byłem w drodze do Camp Barkley w Texasie w celu odbycia podstawowego wyszkolenia. Miałem dwadzieścia lat, byłem długi, szczupły, dość typowy jak na te czasy, przepełniony idealizmem o wygraniu wojny i wychłostaniu Nazistów. Jediną rzeczą, z którą nie byłem jeszcze przygotowany walczyć, był kurz. Na stacji w Abilene załadowano nas na samochody ciężarowe, żeby dowieść do koszar oddalonych o kilka mil. Kurz był tak gęsty, że nie widzieliśmy nic w czasie całej drogi. Wiedziałem, że Camp Barkley musi być dużym miastem, ćwiczyło tam 250 000 ludzi. Rozciągnięte miasto drewnianych baraków sięgało daleko w głąb pustyni i kurzu. W czasie burzy piaskowej mieliśmy polecenie wkładania specjalnych okularów i trzymania ręki na ramieniu tego z przodu. Mimo to zderzaliśmy się co chwila. W listopadzie zaczął padać deszcz i cały ten kurz zamieniał się w bagno. Wiatr mógł jednak wysuszyć powierzchnię tego bagna i wiać tym w twarz. Zwykło się tam mówić, że jest to jedyne miejsce na ziemi, gdzie trzeba maszerować w bagnie po kolana i ciągle jeszcze dostawać piaskiem. W grudniu na domiar wszystkiego zaczynało się zimno większe, niż kiedykolwiek było w Richmond. Dziesiątego grudnia siedzieliśmy ponad dwie godziny na ziemi, w temperaturze minus dziesięć stopni poniżej zera. Tej nocy kiedy pewien młody porucznik ćwiczył nas, jak należy składać ekwipunek, kaszlał cały pluton. Następnego rana bolało mnie gardło. Zgłosiłem się więc do lekarza. Było dość pewne, że muszę mieć gorączkę, ale nie była ona zbyt wysoka, około 39°C. Zabrano mnie jednak do szpitala. Szpital był ogromny, na pięć tysięcy łóżek, z których zajętych było trochę ponad dwieście. Niskie drewniane budynki połączone były korytarzami. Od kiedy miałem gorączkę, przydzielono mnie do oddziału zakaźnego. Były to dwudziestoczerolóżkowe baraki z dyżurką doktora i magazynkiem po jednej stronie. A po drugiej stronie znajdowały się maleńkie jedyńki, gdzie kładziono bardziej chorych. Lecz wszystko, co mi dolegało, to była niewielka gorączka, dlatego leżałem na głównej sali.

Jediną rzeczą, która mnie naprawdę martwiła, było to, że teraz jest drugi grudnia, a osiemnastego muszę być na trasie w pociągu do Virginii. Otrzymałem właśnie wielką szansę podjęcia nauki od dwudziestego drugiego grudnia na Uniwersytecie Medycznym w Virginii i nie chciałem jej stracić przez głupie przeziębienie. Miałem możliwość zostania doktorem po odbyciu specjalnych wojskowych studiów. Było to dla mnie tak niezwykłe, że budziłem się w nocy i myślałem, czy to rzeczywiście prawda.

Krótko po dniu dziękczynienia wywołano mnie przed oblicze dowódców, wśród których było kilku generałów. Byłem pewien, że jest to sąd wojenny i próbowałem sobie przypomnieć z filmów, czy dają szansę zadzwonienia do rodziców, a potem zabierają i rozstrzelują. Staralem się utrzymać w spokoju drżące kolana, kiedy strzelali do mnie pytaniami. Czy to prawda, że odbyłem kompletne przeszkolenie przedmedyczne na Uniwersytecie w Richmond? Czy to prawda, że byłem przyjęty na studia medyczne na Uniwersytecie w Virginii? Jaki był powód mojego wstąpienia do Armii, podczas gdy studenci medycyny byli od tego automatycznie zwolnieni?

W końcu jeden z oficerów wyjaśnił. – Teraz, w czasie zimy w 1943 r. ogromnie brakuje lekarzy, a już w przyszłym roku, o czym każdy wie, będzie miała miejsce w Europie wielka inwazja Aliantów. Jak długo potem będzie jeszcze trwała wojna – pięć lat, może sześć? Potrzebujemy doktorów szybko, a oczywiście jest, że najszybciej można uzyskać ich spośród żołnierzy, którzy posiadają już w tym przedmiocie przeszkolenie.

Tak jest – odpowiedziałem z uczuciem ulgi. Studia przedmedyczne ukończyłem poprzedniego lata. Mając lat dziewiętnaście, zrobiłem czteroletni kurs w dwa lata, jak to wielu robiło podczas wojny. Prawdą też jest, że moje podanie zostało przyjęte na Uniwersytecie w Virginii. A dlaczego wstąpiłem do Armii zamiast... była to sprawa osobista, lecz wszyscy patrzyli na mnie, czekając na odpowiedź.

Stało się tak z powodu mojego taty – powiedziałem. Patrzyli na mnie uważnie, oczekując całego wyjaśnienia, więc mówiłem dalej. – Mój tata był ekspertem węglowym w "C i O" Linie Kolejowej. Jeżdżąc do różnych odbiorców, wyjaśniał im, jak należy budować wydajne piece itd. Kiedy nadeszła wojna, "C i O" przekazały tatę do dyspozycji rządu, który skierował go do inspekcji pieców i kotłów węglowych stosowanych w wojsku na terenie całego kraju. Kiedy inwazja w Europie stała się niemożliwa, został wcielony do Armii i przydzielony do grupy przygotowującej paliwo na "DDay". Mój ojciec należycie wypełniał swoje obowiązki, gotowy był płynąć za morze i już z pierwszą grupą szturmową na kontynent gromadzić paliwo. Natomiast ja w wieku dwudziestu lat ciągle chodziłem do szkoły, gdzie się nic nie działo.

Zgłosiłem się do wojska jako ochotnik. Wysłano mnie do Camp Berkeley. Nie powiedziałem oczywiście oficerom, że po paru tygodniach w kurzu i błocie zmieniłem zdanie na temat doniosłej wartości piechura na tej wojnie. Co więcej, czułem, że już nie mogę na nic liczyć i wtedy nadeszła ta nieprawdopodobna wiadomość, że tak czy inaczej idę na studia medyczne i że to Armia mnie wysyła.

Leżałem, wpatrując się w drewniany sufit na oddziale zakaźnym, ubrany w workowatą piżamę, z uczuciem satysfakcji, że sprawy przybrały taki obrót. Przypuszczałem, że gdybym był bardziej religijny, mógłbym powiedzieć, że Bóg tak sprawił, ale nie przyszło mi to na myśl. Chodziłem wprawdzie do kościoła, który był w pobliżu domu, ale nie było to dla mnie takie ważne. Ważne było harcerstwo. Byłem harcerzem od dwunastego roku życia, przechodząc wszystkie stopnie od młodzika do orła, a ostatniego lata byłem nawet pomocnikiem harcmistrza. Zgłoszenie się do Armii na ochotnika było dobrze widziane, a w nagrodę skierowany zostałem na studia medyczne. Chyba przez całe życie chciałem iść na medycynę, wcześniej nawet niż myślałem o zarabianiu. Dopiero w wyższej szkole dowiedziałem się, że, będąc dobrym lekarzem, można również dobrze zarabiać. Istota sprawy polega na tym, że nie idzie się i nie podejmuje nauki, żeby otrzymać nagrodę. Nagroda jest rezultatem uczciwej i solidnej pracy. Pielęgniarka zatrzymała się przy moim łóżku i strzepnęła termometr. Włożyłem go pod język. Spodziewałem się dobrego wyniku. Był piątnasty grudnia. Leżałem już na oddziale cztery dni bez żadnej poprawy i zaczynałem się już martwić jak dostać się na pociąg osiemnastego grudnia. Nawet po ustaniu gorączki przetrzymywano pacjentów na rekonwalescencji przez kilka następnych dni. Odczytała termometr i zaznaczyła na wynik na diagramie.

– Trochę się martwię. Ciągłe 39°C – powiedziała z wyrazem współczucia. Opowiedziałem jej o mojej wielkiej szansie. Zarówno ona, jak i reszta personelu, byli mną głęboko zatroskani.

Byłem wyczerpany tym wyczekiwaniem, dostarczyli mi więc rozkład jazdy, który trzymałem razem ze szklanką wody i nocną lampką. Między nimi leżał rozkład jazdy, który był moim łącznikiem ze światem. Jeślibym osiemnastego nadal musiał pozostać w szpitalu, mogłem przestudiować każdy wyjazd, aż do rozpoczęcia lekcji dwudziestego drugiego grudnia. Wiedziałem, że dziesiątki innych żołnierzy czekało na moje miejsce, gdybym się nie zjawił. Nawet, gdybym jakimś cudem przyjechał po rozpoczęciu zajęć, moje szanse nadrobienia zaległości były znikome. Był to jeden z najbardziej wysrubowanych programów w służbie.

Ostrzeżono mnie, że trzecia część studentów zostaje odrzucona w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy. Połknąłem pastylkę pozostawioną w papierowym kubku przez pielęgniarkę i wróciłem do swoich myśli. Wiedziałem dokładnie, dlaczego naprawdę chcę być doktorem. Nie dla pieniędzy, ale żeby pomóc dziadkowi Dabney. Dziadek Dabney był ojcem mojej matki. Gdy zamknąłem oczy, widziałem jego niebieskie źrenice i najeżone białe wąsy. Dabneyowie byli francuskimi hugenotami, którzy osiedlili się w Virginii w dziewiętnastym wieku. W rejonie tym wciąż żyła ich specyficzna mowa. On i babcia Dabney byli dla mnie bardziej rodzicami niż dziadkami. Mama zmarła miesiąc po moim urodzeniu, a tata, pracując w "C i O", wiele podróżował. Toteż dziadek i babcia zabrali Mary Jane i mnie do ich dużego drewnianego domu na peryferiach Richmond. Było to cudowne miejsce do wychowywania młodego chłopca. Znajdowały się tam wiklinowe krzesła na szerokiej werandzie i bardzo stare dęby w ogrodzie. Do czasu otrzymania zakazu z Prezydium babcia chowała tam także krowę i kury. Była trochę staromodną panią, która zwracała się do męża "Panie Dabney" i wołała kuchnię opalaną węglem od nowoczesnej kuchni gazowej. Każdego ranka byłem budzony stukiem, jaki robiła przy ugniataniu ciasta na chleb. Dziadek Dabney posiadał największy sklep z obuwem na południu miasta. Na drugim piętrze, w części z obuwem dla dzieci miał gry, które lubiłem. W inne znów dni brał mnie do warsztatów kolejowych, żeby oglądać montaż silników w parowozowni.

Jeszcze innym członkiem domu była panna Williams, pielęgniarka, która przyniosła mnie do domu ze szpitala, wątłego, chorowitego noworodka, po którym nie spodziewała się, że będzie żył. Dziadzio Dabney lubił opowiadać, że byłem tak mały, iż przyniesiono mnie w pudełku od butów. Panna Williams miała okropny gułowaty nos, który niefortunnie został złożony po złamaniu. Wykarmiła mnie ona butelką, co wówczas było niestyszana innowacją w Richmond. Potem została przy nas i opiekowała się Mary Jane i mną. Kiedy miałem siedem lat, tato ożenił się ponownie. Wówczas Mary Jane i ja zamieszkaliśmy z tatą i nową mamą w małym domku na ulicy Brook Road, a panna Williams odeszła gdzieś do pracy. Ciągłe potem każdy weekend spędzałem u dziadka i u babci Dabneyów. W ciągu lat zauważyłem, jak dziadzio coraz bardziej się pochylał na skutek choroby, na którą nikt nie mógł pomóc. Nazwano ją artretyzmem reumatycznym. Kiedy byłem mały, choroba była tylko w jego nogach i chodził o kuli. Następnie rozszerzyła się na ramiona i ręce. Wtedy musiał już żyć na wózku. Kiedy nabrałem nieco sił, mogłem go przenosić do jego "mobilu" albo do łóżka. Widziałem, jak bardzo cierpiał, był jednak najmniej narzekającym człowiekiem na ziemi. Bywało, że jego doktor przysyłał do niego innych pacjentów w odwiedzinach. Wówczas dziadzio miał sposobność ich pocieszać. Wtedy podjąłem decyzję zostania doktorem. Było jednak za późno, żeby pomóc dziadkowi Dabney. Zmarł trzy lata temu, kiedy miałem siedemnaście lat. Pamiętam, gdy wróciłem z harcerskiej wycieczki, znalazłem mego przyrodniego brata Henry'ego i przyrodną siostrę Bruce pod oknem. Oboje byli zbyt mali, żeby zdać sobie sprawę z tego, co zaszło. Ale zauważyłem, że oboje płakali. Powiedzieli mi, że tata, mama i Mary Jane są w Moss Side.

Wystawiono ciało dziadzia Dabney we frontowym pokoju. Stałem w drzwiach i czułem jakąś dziwną niechęć wejścia do środka. Szara metalowa trumna stała na stojakach w pobliżu starego edisonowskiego gramofonu. W końcu przestąpiłem próg i spojrzałem na dziadka, lecz ta blada, cicha postać nie była dziadkiem Dabney. Był zbyt spokojny i pozbawiony koloru. Szczególnie jego ręce mnie zaszokowały. Niezłożone, kalce palce leżały wyprostowane płasko na atłasie. Pokrzywione palce dziadka były dla mnie piękne. Te ręce zbyt gładkie, woskowato białe, wydawały mi się okropne. Nie miałem żadnej szansy pomóc dziadkowi, jednak on rozbudził u mnie świadomość cierpienia ludzi na ziemi, któremu gorąco pragnąłem jakoś zaradzić. Właściwie to było zabawne, bo skoro tylko dowiedziałem się, że można przy tym zarobić jeszcze pieniądze, od razu zacząłem wyliczać w pamięci, co chciałbym posiadać. Była to dość długa lista, od Cadilaca do łodzi i basenu kąpielowego.

Sanitariusz przyniósł posiłek do jadalni. Odłożyłem marzenia o długim i bogatym życiu, koncentrując się na postawionym przede mną talerzu. Po posiłku moje myśli powróciły. Dzięki temu przyspieszonemu wojskowemu programowi, spekulowałem, będę jednym z najmłodszych lekarzy, jacy kiedykolwiek uzyskali dyplom, w końcu przecież wojna nie będzie trwała bez końca. Spojrzałem na rękę. Na owalu z czarnego onyksu umieszczona była złota sowa, przedstawiająca znak bractwa z napisem "Unwersytet w Richmond 1945". Jeśli zacznę szkołę medyczną w tym miesiącu i skończę w ciągu trzech lat... Wyobraziłem to sobie jako zu-

pełnie realne, że, mając 25 lat, mogę mieć Cadillaca. Szesnastego grudnia wyjąłem kolejny raz z szuflady rozkład jazdy i przeleciałem po nim wzrokiem. Jakkolwiek bym nie obliczał, nie było sposobu na dostanie się z Abilene w Teksasie do Richmond w Virginii w czasie krótszym niż 30 godzin. Natomiast w czasie wojny i na dodatek w okresie Świąt Bożego Narodzenia miałbym szczęście, gdybym się mógł tam dostać w czasie 48 godzin. Z tego wyszło, że dziewiętnastego grudnia był ostatnim możliwym do przyjęcia dniem wyjazdu. Tymczasem zamiast przeziębienia doktorzy nazwali moją chorobę grypą.

Niespodziewanie rano siedemnastego grudnia srebrna rtęć w szklanej rurce utrzymała się na 36,6°C. Siostra dyżurna zameldowała natychmiast tę dobrą wiadomość lekarzowi dyżurnemu. W ciągu paru minut zjawił się przy moim łóżku. Biorę cię osobiście na oddział rekonwalescencji – powiedział. Przerzucił moje rzeczy przez ramię i ruszył przez drewniany korytarz, a ja poczłapałem za nim w butach i w płaszczu. Byłem głęboko przekonany, że opiekujący się mną personel i wszyscy oficerowie byli gotowi przyspieszyć okres mojej rekonwalescencji i wypuścić mnie w ciągu kilku dni.

Oddział rekonwalescencji był taki sam jak ten, który opuściłem, 12 łóżek biało emaliowanych wzdłuż każdej ściany – 24 przyłóżkowe stoliki, każdy z nocną lampką. Te same trzy biura, naprzeciw trzy sypialnie. Ty-le, że stąd można iść do innych oddziałów, przechodząc przez kilka prześwitów między budynkami. Pomimo tego przesiedziałem cały dzień na krawędzi łóżka. Na zewnątrz padał śnieg i nie zamierzałem ryzykować ponownego przeziębienia w przeciągu. Rozmyślałem o zbliżających się Świątach Bożego Narodzenia. Jak wspaniale byłoby być teraz w Richmond. Pewny byłem, że dają studentom medycyny wolny dzień na Święta, a te mógłbym spędzić z rodziną. Tata był daleko, ale mama była na miejscu. Była moją macochą i jakoś dotąd nie ułożyło się jeszcze między nami. Siedząc jednak w tych drewnianych barakach, czułem, że tęsknię za nią. Mary Jane i jej mąż mogli nawet przyjechać z Fort Belvoir w Virginii. Tęskniłem ogromnie za Mary Jane i nawet za Henrykiem i Bruce Gordon.

Przy zgaszonych światłach, pielęgniarka podeszła przez oddział, sprawdzając temperaturę i zapisując ją do notatnika. Było to częścią rutynowanych czynności, które wykonywane były w ciągu dnia. Nie myślałem o tym wcale, aż pełniący służbę przyniósł mi ubranie i resztę wyposażenia.

– Idziemy na zakaźny – powiedział.

Skoczyłem do niego – coś ty powiedział?

– Masz gorączkę i mam cię zaprowadzić na oddział zakaźny.

– Moja gorączka przecież minęła, jutro mam być wypisany!

Ze złością poszedł poszukać pielęgniarkę.

Tym razem sprawdziłem temperaturę osobiście – 39,2°C.

Poszedłem za żołnierzem o wiele dłuższym korytarzem, chociaż i ten barak wyglądał identycznie jak dwa poprzednie. Miałem nadzieję, że odprowadzi mnie na oddział, który opuściłem tego ranka, gdzie miałem taką miłą opiekę, lecz niestety tak się nie stało. Dyżurny sanitariusz powiedział, że z powodu napływu chorych na grypę każde łóżko jest zajmowane w minutę po opuszczeniu przez poprzedniego pacjenta. Zająłem to, które mi wyznaczył, ale o spaniu nie było mowy. Co ja mogłem począć? Jest osiemnasty, nigdy nie pojedę już właściwym pociągiem i nie dostanę się na ten z dziewiętnastego. Całą noc przewracałem się z boku na bok. Kaszel mój i moich kolegów nie dał mi zasnąć. Dlaczego moja gorączka nagle podskoczyła? Ze studiów przedmedycznych wiedziałem, że grypa mogła bez szczególnych odznaczeń rozwinąć się w zapalenie płuc, a wtedy niewiele można było poradzić. Kilku doktorów eksperymentowało wprawdzie z nowymi tabletkami, ale nie były one jeszcze w ogólnym użyciu. Następnego ranka moja gorączka nieco spadła, nie na tyle jednak, abym mógł powrócić na rekonwalescencyjny. Podtrzymało to jednak moją nadzieję.

Opowiedziałem nowej siostrze o moim ostatecznym terminie wyjazdu do Richmond. Okazała się ona równie sympatyczna jak poprzednie. W nocy cały personel z głęboką troską rozważał mój problem. Ktoś znalazł w rozkładzie jazdy jeszcze jeden pociąg wyjeżdżający z Abilene w nocy dziewiętnastego. Przy pewnym szczęściu mógłbym dojechać dwudziestego o czwartej rano do Richmond, co mieściło się w czasie.

Mogę załatwić ci Jeepa ze szpitala na dworzec – powiedział mi jeden z doktorów. – Jeśli twoja gorączka będzie spadać, przeniesiemy cię do rekonwalescencyjnego rano, to będzie dziewiętnasty i będziesz mógł jechać prosto na dworzec, nie zgłaszając się wcale do swojej kompanii.



I jakimś cudem moja gorączka powróciła do normy dziewiętnastego rano. Zgodnie ze słowem doktora przeniesiony zostałem natychmiast na oddział rekonwalescencyjny. Cały mój ekwipunek i Jeep gotowe były do wyjazdu o 3<sup>30</sup> następnego ranka. Rano ubrałem się w mundur. Próbowałem odpocząć, ale byłem zbyt podniecony, żeby usiąść. Około 17<sup>00</sup> jakiś facet zaproponował, żeby dla zabicia czasu pójść do kina. Tym razem gotowy byłem to zrobić. Poszliśmy zaraz po kolacji, ponieważ chcieliśmy położyć się wcześniej spać, nie pamiętam nawet, o czym był ten film. Ledwo usiedliśmy, złapał mnie gwałtowny mocny kaszel. Wróciliśmy na oddział o 21<sup>15</sup> tak, żeby być po nocnym obchodzie.

Na służbie był tylko sanitariusz. Odetchnąłem z ulgą. Napadły mnie myśli, że znowu rośnie gorączka. Nie chciałem widzieć nikogo z termometrem. Poprosiłem sanitariusza o parę aspiryn, dał mi sześć i trzy tabletki APC (aspiryna, fenactin, cofeina). Były to jedyne lekarstwa, jakimi mógł dysponować. Zabrałem moje ubranie od niego. Razem z wysokimi butami i oliwkowym płaszczem. Ułożyłem to wszystko w nogach mojego łóżka. Następnie powiesiłem mundur na krześle, tak żeby był gotowy do ubrania w środku nocy. Jedna z siostr pożyczyła mi budzik. Sprawdziłem dwukrotnie, czy jest nastawiony na godz. 3<sup>00</sup>. W końcu wzięłem dwie aspiryny i jedną APC i wbrew hałasowi, bo większość żołnierzy wciąż nie spała, położyłem się i zaraz zasnąłem.

### ROZDZIAŁ III

Obudził mnie spazmatyczny atak kaszlu. Sięgnąłem po spluwaczkę. Bolała mnie głowa, czułem, że klatka piersiowa mi płonie. Na oddziale było cicho i ciemno, tylko małe nocne lampki świeciły z tyłu każdego łóżka. Dwanaście małych żaróweczek wzdłuż każdej ściany. Która godzina? Spojrzałem na zegarek, ale było za ciemno, żeby dostrzec. Zbliżyłem zegarek do światła. Północ.

Wypiłem szklankę wody z dzbanka stojącego na stole. Połknąłem dwie następne aspiryny i APC. Położyłem się z powrotem, zauważając po raz pierwszy, że moja koszula stała się mokra. Podniosłem się, żeby spluć do spluwaczki. W końcu musiałem się zdrzemnąć, ponieważ obudziłem się, nagle walcząc o powietrze. Kiedy atak kaszlu mi przeszedł, spojrzałem znowu na zegarek. Było dziesięć po drugiej. Do wstania zostało mi mniej niż godzina. Czułem się potwornie, a serce biło mi jak młot. Wzięłem ostatnią aspirynę i próbowałem zasnąć, ale kaszel nie ustawał. Sięgnąłem po wodę. W końcu poprawiłem poduszkę i usiadłem. Wydawało mi się, że to pomoże na kaszel, ale bolało mnie wszystko i czułem przyptyw gorączki. Tak długo, jak nikt się o tym nie dowie, miałem szansę dostać się na pociąg.

Znowu popatrzyłem na zegarek. Czas się ubierać. Wyłączyłem budzik, żeby nie niepokoić innych. Wstałem, myśląc, czy jeżeli włączę światło, to inni się nie obudzą, ale jeżeli nie obudził ich ten okropny kaszel, to co jeszcze mogło ich obudzić. Zapaliłem światło i przeszedłem wokół łóżka. Zauważyłem, że trzęsą mi się nogi. Ubrałem mundur i cofnąłem się ostrożnie do łóżka. Wszystko się koło mnie kręciło. Muszę być ostrożny, żeby kierowca Jeepa nic nie zauważył – pomyślałem. Spojrzałem w dół pod stolik. Spluwaczka była wypełniona jasnoczerwoną krwią. Światło przyświecało z pobliskiej dyżurki. Podeszedłem tam i spojrzałem do środka. Sanitariusz mający służbę czytał gazetę.

– Daj mi na chwilę termometr – poprosiłem. Podał mi jeden z półki. Odszedłem parę kroków, włożyłem go do ust. Po minucie odczytałem przy świetle dochodzącym od drzwi magazynku. Zdawało mi się to niemożliwe. Bez względu na to, jak obracałem termometr, srebrny promień rtęci wypełniał całą rurkę.

42°C! – wrzasnął i zanim mogłem go zatrzymać, wybiegł przez podwójne drzwi na korytarz.

Minutę później był z powrotem wraz z siostrą dyżurną. Dali mi drugi termometr pod język, patrzyli na mnie uważnie, podczas gdy ja przeklinałem w myśli moją oczywistą głupotę. Wyjęła mi po chwili z ust termometr. – Siądź. – Rządziła mną jak małym dzieckiem. – Zostań przy nim nakazała strażnikowi. Zaraz będę z powrotem. – Nie mogę tu czekać – powiedziałem do sanitariusza. Muszę się ubrać, wyjeżdżam do Abilene! Jeep zabiera mnie za dwadzieścia minut! – W porządku – powiedział – posiedź trochę i wszystko będzie grało. Ten lunatyk nie zwracał na mnie żadnej uwagi. Doktor przyszedł, obstukał mi klatkę piersiową, zaczął mówić o prześwietleniu.

Nie dojdzie tak daleko – rzekł do siostry – lepiej niech siostra wezwie karetkę. Siostra dzwoniła, podczas gdy ja starałem się wyjaśnić, że nie czekam na ambulans, ale na Jeepa. Jeszcze ciągle im tłumaczyłem, kiedy nadbiegli dwaj sanitariusze z noszami. Doktor kazał mi się położyć, co było czystą głupotą, gdy miałem się właśnie ubierać. Ale jak tu w wojsku przekonać kapitana. Położyłem się, a oni okryli mnie kocem. Minutę później na twarzy poczułem powiew zimnego powietrza. Wsunęli mnie na tył ambulansu i popędziliśmy drogą. W chwilę później otworzyły się drzwi ambulansu, poczułem znów lodowate powietrze. Przeniesiono mnie na noszach do gabinetu pełnego maszyn. Człowiek w białym fartuchu pochylił się nade mną. Omal nie parsknąłem śmiechem, kiedy dwóch sanitariuszy wzięło mnie pod ramiona i podniosło na nogi. Mogłem stać o wiele dłużej, żebym tylko mógł wydostać się stąd na stację kolejową. Ciągle trzymając mnie pod ramiona, przeprowadzono mnie na prawo, gdzie ustawiono siodłate wgłębienie na wysokości podbródka. Człowiek w bieli zmierzył mnie oczami.

– Sześć stóp i dwa cale – powiedział.

Obrócił wysięg z wyżłobieniem, podniósł nieco dźwignię.

– W porządku trzymaj tak przez chwilę.

Puścili mnie wówczas i odstąpili do tyłu za przepierzenie. Postyszałem trzask i turkot, który narastał, czułem go w sobie i czułem go w głowie, moje kolana stawały się jak z gumy, ugięły się i upadłem.

## ROZDZIAŁ IV

Wstałem. Która godzina? Popatrzyłem na stolik, lecz zabrali mi zegarek. Gdzie jest moje ubranie? Rozkład jazdy, zegarek! Rozglądałem się wokół. Byłem w jakimś małym pokoju, nie widziałem takiego wcześniej. Przy małym świetle mogłem zauważyć, że moje łóżko wypełniało cały pokój. Jeszcze tylko białe krzesło i stolik, to wszystko.

Gdzie ja jestem?

Jak ja się tu dostałem?

Przebiegłem myślą wstecz. A więc prześwietlenie, ależ tak! Przenieśli mnie na oddział prześwietleń i musiałem zemdleć. Pociąg! Spóźnię się na pociąg. Wyskoczyłem z łóżka jak na alarm, gdzie ubranie. Ci ludzie nie mogli wiedzieć o moim pociągu, dlatego mnie tutaj położyli, zamiast odejść na oddział, gdzie czekał na mnie Jeep. Mojego ubrania nie było na krzesle. Nigdzie nie było też mojego ekwipunku. Gdzie w tym małym pokoju może być szafa? Może pod łóżkiem? Obejrzałem się i zamarłem. Ktoś leżał na moim łóżku. Podeszedłem bliżej. Całkiem młody mężczyzna, brunet, leżał całkiem nieruchomo. Lecz... przecież przed chwilą wstałem z tego łóżka. Przez chwilę usiłowałem coś z tego zrozumieć. Było to jednak zbyt dziwne, żeby o tym myśleć. Tak czy inaczej pędzę na pociąg. Sanitariusz! Może moje ubranie jest u niego w dyżurce. Wybiegłem z pokoju, patrzę dokoła. Dwa rzędy nocnych lampek świecą wzdłuż każdej ściany, wydawało mi się, że tutaj kiedyś już byłem. Trudno to jednak stwierdzić z całą pewnością, wszystkie te oddziały były tak do siebie podobne.

Naprzeciw apteczki, drzwi były otwarte, świeciło światło, ale nie było sanitariusza. Wszedłem do środka, lecz na półkach nie było ani ubrania, ani butów. Gabinety lekarzy i pielęgniarek były zamknięte, nie było tam też nikogo. Poszedłem po cichu obok śpiących żołnierzy po głównej sali, rozglądając się czy tutaj nie złożono mojego munduru. Lecz światło było za słabe, żeby coś zobaczyć. Z wyjątkiem chrapania i sporadycznego kaszlu, nic więcej nie było słychać.

Zauważyłem przechodzącego sierżanta, niosącego pod płaszczem instrumenty.

– Przepraszam panie sierżancie, czy nie widział pan sanitariusza z tego oddziału?

Nic nie powiedział, nawet nie spojrzał na mnie. Szedł wprost na mnie, nawet nie próbując ominąć.

– Ostrożnie! – jęknąłem i uskokczyłem w bok.

– Poszedł dalej wzdłuż korytarza, jakby wcale mnie nie zauważył. Chociaż, jak to się stało, że się nie zderzyliśmy, pozostało dla mnie zagadką..

Wreszcie zauważyłem coś, co podsunęło mi pomysł. Dalej w głębi korytarza znajdowały się ciężkie metalowe drzwi, prowadzące na zewnątrz. Pospieszyłem w tym kierunku. Nawet gdybym nie zdążył na ten pociąg, znajdę jakiś sposób, żeby się dostać do Richmond. Nie wiem, jak znalazłem się na zewnątrz, poruszając się szybko, bez wysiłku. Właściwie to podróżowałem nawet szybciej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Nie było nawet tak zimno jak wcześniej, wieczorem. Teraz nie odczuwałem ani zimna, ani ciepła.

Spojrzałem w dół i ze zdumieniem stwierdziłem, że nie widzę ziemi tylko gęszcz dachów, zabudowań pod mną. Wkrótce Camp Berkeley pozostał w tyle, a ja przelatywałem nad ciemną zamarzniętą pustynią. Mój rozum podpowiadał mi, że robię coś niemożliwego, ale przecież to robiłem. Miasto pod mną było oświetlone, na skrzyżowaniach migotały światła. To było niezwykle. Człowiek nie mógł przecież latać bez samolotu, a ja latałem, tyle, że niżej niż samolot. Pola za miastem wydawały mi się bardziej zdrzewione, pokryte śniegiem, który otaczał ciemne kręgi w koło drzew. Zauważyłem drogę, ruch był niewielki, miasta, które miałem były ciemne, spokojne. Zmierałem do Richmond. Miałem pełną świadomość tego, co się dzieje. Od momentu, kiedy przeleciałem przez stalowe drzwi szpitala, zmierałem do Richmond setki razy szybciej niż jakikolwiek pociąg na ziemi. Lecz... teraz pomyślałem, jak ja mogę się upewnić, że lecę do Richmond. Odbylem jedną podróż pomiędzy Texasem a Virginią, ale to była inna droga i większą część podróży odbyłem nocą. Jak ja mogę odbyć tę podróż zdany tylko na siebie.

Poniżej mnie rozlała się niezwykle szeroka rzeka. Był też długi, wysoki most i w oddali największe z miast, jakie spotkałem po drodze. Pomyślałem, że dobrze byłoby zejść w dół, odnaleźć kogoś i zapytać o kierunek. Zauważyłem, że prawie natychmiast zniżyłem się właśnie poniżej mnie w okolice skrzyżowania. Zauważyłem migające niebieskie światło – był to reklamowy neon nad drzwiami parterowego budynku o czerwonym dachu. Napis *Pabs Blue Ribbon Beer* i drugi w oknie *Cafe*, światło tych neonów oświetlało chodnik. Po zejściu w dół zdałem sobie sprawę, że mogę iść jak każdy inny. Tam w powietrzu 20 m nad ziemią czułem się, jakbym pędził z wiatrem, nie było jednak czasu, aby o tym myśleć. Po chodniku przed barem szedł rzeźko jakiś człowiek. Pomyślałem, że w końcu mam szansę dowiedzieć się od niego do jakiego miasta przybyłem. W tym czasie, kiedy przyszło mi to na myśl, znalazłem się na chodniku, podążając za nieznanym człowiekiem, myśl i ruch stawały się tą samą rzeczą, stanowiły jedność. Był to cywil około 45 lat, w płaszczu bez czapki. Oczywiście myślał o czymś intensywnie, ponieważ, chociaż szedłem obok niego, nawet na mnie nie spojrzał. Szedł dalej.

– Szanowny Panie – zwróciłem się głośniejszym głosem – jestem tutaj obcy i byłbym wdzięczny jeśli...

Doszliśmy do Cafe, gdzie zmierzał ten człowiek. Czy on jest kompletnie głuchy? Położyłem rękę na jego ramieniu. Nic tam nie było. Stałem naprzeciw drzwi, patrząc za nim, jak wszedł i zniknął w środku. To było jak dotykanie lekkiego powietrza, jakby nikogo nie było. A jednak bardzo dokładnie go widziałem, nawet jego zarost, który wymagał golenia. Jeszcze nie otrząsnąłem się dobrze z tego wrażenia, kiedy w chwilę później przeszedłem przez słup telefoniczny i pracownika przy nim pracującego.

Stojąc na chodniku, zacząłem rozmyślać z niedowierzaniem. Było to najbardziej trudne do pojęcia od niepamiętnych czasów. Ten człowiek przed Cafe, słup telefoniczny... możliwe, że to wszystko, co spotkałem, było najnormalniejsze w świecie. To prawdopodobnie ja się jakoś zmieniłem. W jakiś nieprawdopodobny trudny do wytłumaczenia sposób utraciłem swoją twardość. Zdolność pochwycenia rzeczy, kontaktowania się ze światem. Nawet nie jestem widzialny!

Przecież ten człowiek ani mnie nie widział, ani nie słyszał. Ten sierżant w szpitalu też mnie nie widział, dla obu tych ludzi ja nie istniałem. Ale jak to możliwe, jakie to straszne. Ludzie na Uniwersytecie Medycznym również mnie nie będą widzieć. Toteż nie ma sensu lecieć do Richmond, nawet gdybym tam był, nikt mnie nie zauważy. Tak samo, jakbym się zjawił na Święta Bożego Narodzenia, również nikt mnie nie będzie widział. Poczuję się ogromnie samotny. Gdyby chociaż w jakiś sposób się utwardzić, móc reagować jak inni ludzie. Nagle przypomniał mi się ten człowiek, którego widziałem na łóżku w małej salce szpitalnej.

A jeśli to byłem ja lub jakaś konkretna twarda część mnie, z której wydostałem się w jakiś niewyjaśnionych okolicznościach. Co się stanie, jeśli ten leżący na łóżku człowiek to właśnie ja? Jeśli jednak tak jest, to jak się dostać do tego ciała z powrotem. Czemu w ogóle tak bezmyślnie postąpiłem. Teraz pędziłem już pełną prędkością z powrotem. Poniżej mnie rozlewała się rzeka, pragnąłem jak najszybciej być z powrotem

i czułem, że lecę nawet szybciej niż przedtem. Wzgórza, jeziora, farmy przesuwają się przede mną, wskazując prosty kierunek lotu w ciemną zimową noc.

W końcu drzewa się przerzedziły i zauważyłem poniżej gęste zabudowania i ten bezwodny zdradziecki Texas. Wreszcie dachy baraków Camp Berkeley, ciemne sylwetki na tle zaśnieżonej ziemi. Teraz wolno się zniżałem i stanąłem przed wejściem do głównego budynku szpitala. Pospieszyłem do środka. Najpierw był oddział przyjęć, gdzie zgłosiłem się dziesięć dni temu. Ciągle była noc, ponieważ biura były zamknięte na klucz. Zacząłem przeglądać po lewej stronie korytarza, lecz zatrzymałem się, gdy zauważyłem, że zmierzam do magazynku kuchni. W końcu po przejściu paru korytarzy, wszedłem do dużej sali, która wydawała mi się znajoma. W każdym łóżku leżała jakaś postać, lecz nie ta, której ja szukałem – która, jak byłem przekonany, należała do mnie – była w małej jedyńce blisko drzwi, tego byłem pewny. Przeglądając uważnie wszystkie trzy, lecz pierwsze dwie były puste, a w trzeciej mężczyzna z dwoma nogami w gipsie.

Wróciłem na korytarz i spojrzałem niezdecydowany. Gdzie mógł być ten mały pokój, które drzwi prowadziły do niego? Męczyłem swój umysł, żeby coś sobie przypomnieć, cokolwiek co mogłoby naprowadzić mnie na zlokalizowanie tego pokoju. Byłem jednak tak podenerwowany, że nie mogłem uporządkować myśli. Kiedy wynieśli mnie z rentgena, byłem nieprzytomny. Po zbudzeniu byłem tak przejęty szybkim dostaniem się do Virginii, że wyskoczyłem, nie oglądając się za siebie. Było jednak oczywiste, że gdzieś tutaj w ponad dwustułóżkowym szpitalu, była mała salka, która była dla mnie niesamowicie ważna i nic poza tym mnie nie obchodziło.

Tak zaczęło się najdziwniejsze wydarzenie, jakie kiedykolwiek miało miejsce na ziemi – poszukiwanie samego siebie. Przebiegałem od jednego oddziału do drugiego tego ogromnego kompleksu szpitalnego, przeglądając każdy mały pokój, sprawdzając zajęte łóżka i ciągle pośpieszając siebie. Były tam setki pokoi i oddziałów tak podobnych do siebie, że wkrótce wszystko mi się pomieszało – gdzie już sprawdzałem, a gdzie tylko przeleciałem.

Powoli doszła do mojej świadomości jeszcze jedna przerażająca prawda... ja nigdy siebie nie widziałem. Nie tak zupełnie. Ale nie tak, jak wiele innych ludzi. Od klatki piersiowej w dół znam siebie, lecz od ramion w górę? Teraz zdałem sobie sprawę, że w lustrze widziałem tylko płaskie odbicie. Tylko tyle. Plastikowej postaci samego siebie nie znam. W tym momencie odkryłem sposób, w jaki się wzajemnie rozpoznajemy. Nie przez kształt nosa czy kolor oczu, ale przez jednoczesną wizję całej trójwymiarowej postaci. Znałem oczywiście własny wzrost i wagę. Sześć stóp, dwa cale i sto siedemdziesiąt funtów. Lecz jak to mogło pomóc w odnalezieniu człowieka w łóżku? Leżał tu jeden rząd żołnierzy za drugim, którzy mieli bardzo podobne wymiary. Wszyscy z nich dochodzili dwudziestki albo mieli nieco ponad, wszyscy w piżamach szpitalnych, pod wojskowymi kocami i każdy z ogoloną głową.

Jedyny sposób, jaki mógł mnie naprowadzić to to, że leżę w jednej z trzech jedynek, blisko drzwi do oddziału, gdyż na tych salach widziałem dziesiątki żołnierzy, którzy wyglądali właśnie tak, jak ja wyobrażałem siebie samego – i znowu musiałem rozpocząć szukanie od nowa. Zachodziłem w głowę, jak się rozpoznać, przecież mogę przejść koło siebie i nawet nie zauważyć. Było nie było, nie pozostało mi nic innego, jak zacząć od nowa i uważnie patrzeć w każdą twarz. Samotność, w którą popadłem w obcym mi mieście przerodziła się teraz w panikę. Zostałem odcięty od wszystkich, utraciłem swoją ziemską postać, a teraz... nie jestem nawet w stanie się zidentyfikować. Jeśli osoba leżąca w łóżku ciężko dyszała, była blondynem albo piegowata, szybko podbiegałem. Jednak przy tym zaciemnionym świetle nie można było za wiele zobaczyć. Sytuacja stawała się beznadziejna. Snułem się pod ścianami (wykorzystywałem to, że ani ściany, ani meble nie mogły mnie zatrzymać. Głowiłem się nad tym, żeby odkryć jakiś szczególny znak na sobie, który mógłby odróżnić mnie od pozostałych, dwudziestoletnich śpiących żołnierzy. Może jakaś brodawka albo blizna? Przecież pierścień. Oczywiście! Czarny pierścień z onyksu ze złotą sową... Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Teraz mogłem zacząć od początku, z większą otuchą. Mogę sprawdzać pokój za pokojem i, jeśli zauważę kogoś, kto wygląda tak, jak ja myślę, że wyglądałem, będę sprawdzał szczegółowo według nowych kryteriów.

A więc... chyba to było tu. Wszystko jest takie do siebie podobne, takie szalenie mylące, identyczne oddziały, identyczne korytarze. Przeleciałem wszystkie małe pokoje, rzucając tylko okiem na postać, jeżeli le-

wa ręka była odkryta. Znacznie częściej jednak obie ręce były schowane i mogłem tylko czekać, aż śpiący zmieni pozycję. Pamiętam, że raz siedziałem długo koło młodzieńca, którego usta i policzki przy tym bladym świetle przypominały mi mego ojca. Śpiąc, cicho pojękiwał. Leżał na lewym boku i rękę miał pod poduszką, im więcej mu się przyglądałem, tym bardziej przypominał mi moją osobę. Raz za razem próbowałem poderwać poduszkę, usiłując ją podrzucić, ale moje palce łąpały tylko powietrze. W końcu żołnierz się podniósł sięgając po wodę na stoliku. Na jego lewej ręce był złoty ślubny pierścień.

Kontynuowałem swoje poszukiwania od sali do sali, pewna ilość żołnierzy nie spała, leżąc bez ruchu lub siedząc na kraju łóżka, palili papierosy. Kiedy patrzyłem na nich, czułem jak wzmagają się we mnie poczucie samotności. Wchodziłem i wychodziłem niezauważony, ale ciągle jeszcze, gdy siostra albo ktoś starszy rangą szedł po korytarzu, odskakiwałem odruchowo na bok, mimo iż wiedziałem, że mogą przejść przede mną lub też mogą kogoś dotknąć i nie być zauważony. W końcu moich poszukiwań dotarłem do oddziału rentgena. Operator w białym fartuchu, którego spotkałem wcześniej, siedział przy biurku i czytał jakieś dokumenty w segregatorze. W tym miejscu ostatni raz rozmawiałem z człowiekiem.

– Popatrz na mnie – krzyknąłem – stoję tutaj!

Wziął pióro i odnotował coś w dokumencie. Zaledwie parę godzin temu, byłem wniesiony tu na noszach. A może to były tygodnie albo lata temu? A może minuty? Coś dziwnego działo się z czasem w świecie, gdzie prawo o przestrzeni, prędkości i masie zostało zawieszane. Nie potrafiłem ocenić, jak długo to trwało, parę minut czy parę godzin. Z niechęcią opuściłem jedyne go człowieka, jakiego rozpoznałem, ale co miałem robić. Następny korytarz, następne łóżka, lewa strona, prawa strona, trzy gabinety blisko wejścia i trzy jedyne naprzeciw. Śpiący człowiek zbudzony, znudzony, przestraszony, ale żaden z pierścieniem ze złotą sową. W jednej jedyne młody żołnierz płakał. Może tęsknił za domem. Wielu z nas płakało z tęsknoty za bliskimi, szczególnie w okresie Świąt Bożego Narodzenia.

W następnej jedyne – nikogo, w następnej leżał ktoś przykryty prześcieradłem. Odskokczyłem zaskoczony. Ten ktoś przykryty w całości wraz z głową, tylko ramiona były na zewnątrz. Dziwnie sztywny i prosty, jego ramiona były nienaturalnie skrzyżowane, a palce zagięte. Na trzecim palcu lewej ręki był mały pierścień z czarnego onyksu ze złotą sową.

## ROZDZIAŁ V

Powoli z oczami utkwionymi w dłoń, przesuwając się do przodu. Było w tym coś niesamowitego. Nawet przy zaciemnionym świetle mogłem widzieć, że była ona zbyt gładka i zbyt biała. Gdzie ja już widziałem taką rękę? Przypominam sobie, że było to wtedy, gdy dziadzio Dabney leżał w trumnie. Odskokczyłem do drzwi – w tym łóżku leży przecież trup! Czułem jak dawniej niechęć przebywania ze zmarłymi w tym samym pokoju. Lecz... jeśli to jest mój pierścień, więc to jestem ja, część mnie leży pod tym prześcieradłem. Czy to znaczy, że ja jestem?... Ale ja nie umarłem! Jakże mogę być umarłym, a jednocześnie przebudzonym, myślącym, nabierającym doświadczenia? Przecież śmierć to co innego. Śmierć jest...

Właściwie to nie wiem czym. Zniknięciem, nicością. Ale ja jestem w pełni świadomy, tylko że bez funkcjonującego ciała fizycznego. Podjąłem usilne próby zdjęcia z tej osoby prześcieradła, ale nawet największe moje wysiłki nie poruszyły powietrza w tej maleńkiej salce. W końcu z rozpaczki wskoczyłem do łóżka i mimo że ja tu leżałem, nie byłem w stanie nawiązać ze sobą kontaktu. Jak gdybyśmy byli mieszkańcami różnych planet.

Czy to jest właśnie śmierć? Oddzielenie się części osoby od jego reszty? Nie byłem pewny, kiedy światło w pokoju zaczęło się zmieniać. Nagle uświadomiłem sobie, że jest jaśniej, dużo jaśniej niż było. Popatrzyłem na nocną lampkę, na pewno piętnastowatowa. Czy mogła dać tyle światła? Zauważyłem zdziwiony, że ten wzrost jasności nie pochodził znikąd, wydawało mi się, że światło jest wszędzie naraz. Wszystkie żarówki w szpitalu nie dałyby tyle światła, nawet wszystkie na świecie! Stało się nieprawdopodobnie jasno, wyglądało jakby milion spawaczy rozjażyło światło w jednej chwili. Zauważyłem jednocześnie ze zdumieniem, że to dobrze, że nie mam fizycznych oczu. Pamiętałem z lekcji biologii, że przy dużym świetle siat-

kówka oka zniszczyłaby się w jednej sekundzie. Nareszcie się zorientowałem – przecież to nie światło – to On! Był za jasny, żeby można było na niego patrzeć. To nie światło jaśniało, lecz Człowiek, który wszedł do pokoju, a raczej Postać Świetlana. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, że tak intensywny blask wydobywa się z Jego postaci. W momencie, kiedy Go dostrzegłem w mojej myśli padła komenda “powstań”. Moje myśli były pełne szacunku, jakiego jeszcze nie znam. Wstałem i odczułem jakiś zadziwiający przekaz, wyjaśnienie – “Ty jesteś Synem Boga”.

Ten przekaz był wewnątrz mnie, nie formował się przez rozumowanie. Był to rodzaj wiedzy natychmiastowej i kompletnej. Znałem także inne fakty o Nim. Jeden taki, że był najbardziej mężną istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem, jeśli to jest ten Syn Boga, to Imię jego jest Jezus! Lecz nie był to Jezus z podręczników szkolnych, ten Jezus łagodny, miły, wyrozumiały, prawdopodobnie trochę słaby. Ten jest potęgą, znaną od wieków, a najnowocześniejszą od wszystkiego, co kiedykolwiek widziałem. A nade wszystko z tym samym głębokim, wewnętrznym przekonaniem wiedziałem, że ten Człowiek mnie kocha. Ta bezwarunkowa miłość była o wiele większa niż moc emitowana z Jego obecności. Zadziwiająca miłość. Miłość przekraczająca moje najszczersze wyobrażenia.

Ta miłość znała wszystkie moje wykroczenia przeciw miłości, kłótnie z moją matką, mój wybuchowy temperament, myślenie o seksie, którego nie zdołałem podać kontroli, moje samolubne myślenie i działanie od dnia moich urodzin. Pomimo to kochał mnie niezmiennie. On wiedział o mnie wszystko, po prostu można to było zaobserwować. Wkrótce po zjawieniu się Jego świetlistej postaci musiałem przedstawić swoje postępowanie, ujawnić przed nim każdy pojedynczy epizod z mego życia. Wszystko, co mi się przydarzyło po prostu tu, w całej rozciągłości jednocześnie. Wyglądało to tak, jakby wszystko nastąpiło w jednym czasie. Jak to było możliwe, nie wiem. Nigdy przedtem takiego czegoś nie przeżywałem. Ten mały pokój z jednym łóżkiem był ciągle widzialny, ale już nas więcej nie ograniczał. Wokół nas poruszały się i rozmawiały trójwymiarowe postaci. Niektóre wydawały się być mną. Zobaczyłem siebie stojącego w trzeciej klasie przy tablicy, otrzymującego odznakę “Orła” przed frontem mojej harcerskiej drużyny.

Widziałem dziadka Dabney jadącego na wózku po werandzie w Moss Side. Zobaczyłem siebie drobniutkiego funtowego niemowlaka, łapiącego powietrze w inkubatorze. Jednocześnie zobaczyłem siebie wyciąganego przez cesarskie cięcie z wnętrza chorej i umierającej młodej kobiety, której nigdy dotąd nie widziałem. Zobaczyłem siebie kilka miesięcy starszego, siedzącego na kolanach miłej kobiety z błyszczącym i mocno zniekształconym nosem oraz trzyletnią dziewczynkę bawiącą się z nami na podłodze. To była pewno Mary Jane, chociaż nie mogłem jej w tym wieku pamiętać. Panna Williams wyglądała tak, jak ją sobie przypominałem. Pojawiała się w wielu scenach i zawsze odczuwałem tęsknotę, która uprzytamniała mi, jak bardzo ją kochałem. Wydarzenia odbywały się jedne obok drugich. Widziałem tatę prowadzącego długą smukłą brunetkę do Moss Side, kobietę, z którą zamierzał się ożenić. Zobaczyłem Mary Jane i mnie razem z nim w domu, przy 4306 Brook Road, widziałem także siebie przestraszonego, stojącego przy oknie. Chciałem wyjść, lecz bałem się chłopca z sąsiedniego domu. Obok scen wesółych były i smutne. Widziałem, jak obrywałem lanie od chłopca, aż siostra nadbiegła, żeby mnie ratować. Płakałem, żegnając się z tatą, który wyjeżdżał z domu na tydzień, czasem na dwa tygodnie lub miesiąc, gdyż jego praca wymagała ciągłych wyjazdów.

Miałem też wiele dziwnych pomysłów. Zobaczyłem nagle, jak się odwracam, kiedy moja nowa mama pochyla się nade mną, żeby mnie pocałować na dobranoc, i te moje myśli “Nie będę kochał tej kobiety. Zmarła moja mama. Panna Williams odeszła. Jeśli i ją będę kochał, to i ona mnie opuści”. Patrzyłem na siebie mającego dziesięć lat, stojącego przy oknie w jadalni, kiedy tata poszedł do szpitala, żeby przyprowadzić mamę i nowego braciszka Henryka. Zdecydowany byłem w ogóle na niego nie patrzeć, ponieważ nie zamierzałem lubić tego nowicjusza. Patrzyłem dalej, kiedy miałem dwanaście lat. Przeprowadzaliśmy się na zachodnią stronę Richmond. Widziałem, jak dostałem nowy rower od babci i dziadzia Dabney. Widziałem siebie tysiące razy przejeżdżającego przez most w Moss Side.

Widziałem, jak po południu przyszedłem do domu i zastałem cały trawnik pokryty kawałkami drewna balsamowego, które pozostały z ogromnego modelu samolotu, starannie przeze mnie złożonego i sklejonego. Widziałem mą wściekłość na trzyletniego Henryka i jak posępnie odwróciłem się od całej rodziny. Były też

epizody z mojej średniej szkoły – spotkania, egzaminy z chemii, najszybszy w szkole przebieg na jedną miłą. Dzień matury. Wstąpienie na wyższą uczelnię w Richmond. I widziałem cały czas to moje bezpodstawne uprzedzenie do matki, brata Henryka, nawet do malutkiej Bruce Gordon. Widziałem jak tata przyszedł do domu w mundurze majora i siebie pędzącego na pocztę, żeby wstąpić do służby wojskowej. Później muszę w Camp Lee, następnie siebie i setki innych rekrutów ładujących się na pociąg do Camp Berkeley. Mogłem patrzeć na każdy szczegół życia moich dwudziestu lat. Dobre i złe wydarzenia, a wszystkie z punktu widzenia nasuwającego się pytania, zawartego w każdej scenie i jak gdyby wysuwanego przez tę żywą Jasność, stojącą na ziemi.

– ***Czego dokonałeś w swoim życiu?***

Oczywiście nie było to pytanie, na które On chciał otrzymać odpowiedź, bo to, co ja robiłem, było widać jak na dłoni. Wszystkie zdarzenia z przeszłości ze wszystkimi szczegółami i z całą ich dokładnością, pochodziły od Niego, nie ode mnie, ja nie mogłbym przypomnieć sobie nawet dziesiątej części tego.

– ***Czego dokonałeś w twoim życiu?***

Było to pytanie raczej o wartość, a nie o fakty. Czego dokonałeś w tym bezcennym czasie, jaki został Ci udzielony? Na tle tego zawstydzającego pytania, zwykłe chłopięce postępowanie było wręcz nudne i banalne. Czyżbym nie dokonał czegoś trwałego, czegoś ważnego? Rozglądałem się desperancko dokoła, szukając, co mogłoby mieć wartość w świetle tej jaskrawej rzeczywistości, a co nie? Nie była to sprawa tych spektakularnych seksualnych grzeszków, które są sekretem większości nastolatków. Lecz jeśli nie było jakiś straszliwych upadków, to i nie było wzlotów. Tylko całkowita, krótkowzroczna, hałaśliwa troska o siebie. Czy nie zrobiłem czegoś więcej, co by wykraczało poza własny pilny interes, coś dla innych ludzi, coś, co miałoby jakąś wartość? I wreszcie znalazłem moment, z którego mogłem być najbardziej dumny z całego mojego życia. “Zostałem harcerzem Orła”

Znowu słowa zdawały się emitować z Osobowości stojącej za mną: ***To gloryfikowało Ciebie.***

To prawda, mogłem się zobaczyć w Centrum uwagi, tryskającego dumą, zachwycone oczy mojej rodziny i moich przyjaciół. Ja, ja, ja,... zawsze w centrum. Czy nie było takiej chwili w moim życiu, kiedy kogoś jeszcze dopuściłem? Zobaczyłem siebie służącego do mszy, kiedy miałem jedenaście lat, proszącego Jezusa, aby był Bogiem mojego życia, ale niedługo potem mój zapał zmienił się w rutynowe, nudzące mnie codzienne chodzenie do kościoła. Co gorsza, zobaczyłem strojnisia i pyszałka. Czuję, że jestem lepszy od innych, którzy nie chodzą do kościoła. A nawet przez moje nienaganne uczęszczanie lepszy od wielu tych, którzy chodzą do kościoła. Wreszcie moje studia przedmedyczne, to jak zamierzałem zostać doktorem i pomagać ludziom. A równocześnie w czasie scen w klasie widocznie były inne; drogi samochód Cadillac, prywatny sportowy samolot. Moje myśli, działania były łatwo widoczne we wszystko przenikającym świetle.

I natychmiast samoistnie szamotały się we mnie straszliwe myśli – “To nie jest przyzwoite!” Oczywiście nic nie dokonałem w życiu! Ale nie było przecież kiedy. Jak można kogoś osądzać, kiedy jeszcze nic nie rozpoczął?”

Myśl odpowiedziała bez osądzania.

– ***Śmierć*** – w słowach brzmiała nieskończona miłość – ***może nadejść w każdym wieku.***

No pewno, wiedziałem, że maleńkie dzieci i noworodki także umierają, jakkolwiek zakładałem, że mnie należy się pełny okres życia. To po co moje ubezpieczenie na życie? Wydobywały się ze mnie słowa, w tym dziwnym świecie, gdzie można się porozumiewać myślami zamiast mową. Parę miesięcy temu podjąłem standartowe ubezpieczenie na życie oferowane przez agenta. W podświadomości byłem przekonany, że mając ten kawałek papieru, równocześnie mam gwarancję na życie. Jeśli poprzednio podejrzewałem, że w tej Osobistości jest także wesołość, teraz byłem tego pewny; jasność wydawała się wibrować, skrzyć w świetlnym śmiechu. Nie ze mnie i nie z mojej głupoty, nie żeby drwić ze mnie. Była to wesołość, która wydawała się mówić, że wbrew moim błędom i tragedii na końcu jest jednak radość. W czasie tego radosnego śmiechu, zdałem sobie sprawę, że to ja byłem tym, który tak ostro oceniał wydarzenia nas otaczające. To ja widziałem je banalne, samolubne, nieważne. Ten wyrok nie pochodził od świetlanej Postaci. On nie winił mnie i nie ganił. On po prostu kochał mnie. Odczuwałem wszystko razem z Nim i czułem jego osobistą opiekę. Ciągłe brak jednak było odpowiedzi, na którą czekał w blasku otaczającej nas światłości.



– ***Pokaż, czego dokonałeś w swoim życiu.***

Wreszcie zrozumiałem, że w pierwszym pospiesznym wysiłku udzielenia przekonującej odpowiedzi wszystko pomieszałem. On nie pytał o osiągnięcia, nagrody. Pytanie, jak wszystko, co od niego pochodziło, dotyczyło miłości.

***Jak bardzo kochałeś w twoim życiu? Czy kochałeś innych tak, jak Ja ciebie Kocham? Całkowicie? Bezwarunkowo?***

Podjmując to pytanie, zrozumiałem, jak głupio było z mojej strony próbować znaleźć odpowiedź w otaczających nas scenach. Dlaczego nie znałem takiej miłości, przecież to było możliwe, ktoś powinien mi powiedzieć – myślałem zagniewany! Na koniec odkryłem, o co chodziło w moim życiu – podobnie, jakbym na końcowym egzaminie musiał zdawać z przedmiotu, którego nigdy się nie uczyłem. Jeśli to jest sedno wszystkiego, to dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Kiedy tak bolałem nad sobą, usłyszałem odpowiedź, która nie zawierała nagany, tylko jakby uśmiech w słowach.

– ***Ja ci powiedziałem.***

Ale jak? Ciągle jeszcze próbowałem się usprawiedliwiać. Jak On mógł mi powiedzieć, że nie słyszałem?

***Powiedziałem Ci przez życie moje i przez śmierć moją, a jeśli będziesz miał uwagę zwróconą na mnie, zobaczysz o wiele więcej...***

Nawet nie zauważyliśmy, jak opuściliśmy szpital. Wydarzenia z mojego życia, które toczyły się wokół nas, też doczekały się końca. Teraz pędziliśmy wysoko nad ziemią do odległego świata. Ten lot nie był podobny do tego, który odbyłem sam. Przedtem moje zdziwienie skupiłem na sobie, leciałem nad ziemią. Teraz lecieliśmy wyżej i szybciej, a oczy miałem skierowane na Niego. On prowadził i teraz czułem się bezpieczny. Odległe światło rozwinęło się w duże miasto, do którego zmierzaliśmy. Ciągle jeszcze była noc, lecz dym wydobywał się już z kominów fabrycznych i wielu domów. Wiele mieszkań było oświetlonych. Za miastem był ocean albo jezioro. Mógł to być Boston, Detroit, Toronto, z pewnością miejsce, gdzie nigdy nie byłem. Wkrótce znaleźliśmy się na zatłoczonej ulicy, blisko fabryki produkującej na trzy zmiany dla potrzeb wojskowych.

Uderzyło mnie, że ulice były nieprawdopodobnie zatłoczone. Tuż poniżej dwóch ludzi szło naprzeciw siebie i za moment jeden przeszedł przez drugiego. Z łatwością widziałem jednocześnie, zatłoczoną ulicę, hałaśliwą fabrykę i biura fabryczne. Wszędzie było wielu ludzi. W jednym biurze siedział szpakowaty mężczyzna i drukował list na obracający się cylinder gramofonu. Za nim stał mężczyzna, może 10 lat starszy, starając się gwałtownie wyrwać mikrofon z ręki mówiącego.

– Nie! – krzyczał – jeśli zamówisz sto, policzą ci więcej, weź od razu tysiąc. Pierwsze sprzeda ci na lepszych warunkach. Dlaczego posyłasz to zamówienie do Billa? Zmień to, daj nowe zamówienie. W tym czasie człowiek siedzący na krześle zdawał się w ogóle nie wiedzieć, że ktoś stoi obok niego i krzyczy. Zauważyłem natychmiast fenomen, ci ludzie są nieświadomi obecności innych tuż za nimi. Zobaczyłem grupę robotników zebranych koło kiosku z kawą. Jedna z kobiet prosiła drugą o papierosa, właściwie błagała, że potrzebuje go więcej niż czegokolwiek na świecie. Lecz ta druga, rozmawiając z przyjaciółką, całkowicie ją ignorowała. Wyjęła paczkę papierosów i zapaliła bez poczęstowania błagającej ją kobiety. Natychmiast kobieta, która poczuła się na pewno szalenie pokrzywdzona, doskoczyła do palącego się w ustach papierosa. Starła się go porwać raz i drugi, i znowu. Z uczuciem pewnego dreszczu zauważyłem, że nie była w stanie nic zrobić. Pomyślałem w tym momencie o tym człowieku przy słupie telefonicznym i prześcieradle w szpitalu. Przypomniałem sobie, z jakim utęsknieniem patrzyłem na człowieka, który nie zwracał na mnie uwagi. A teraz patrzyłem na ludzi w tym mieście, daremnie usiłujących kogoś zainteresować. Chodzących po chodniku bez zajmowania miejsca. Jasne się dla mnie stało, że ci ludzie pozbawieni twardości są w tak samo w przykrych sytuacjach, jak niedawno temu byłem ja. Po prostu umarli tak jak ja.

Ależ to tak inne od mojego pojęcia o śmierci! Popatrzyłem na kobietę mającą 50 lat, która podążała za mężczyzną, mniej więcej w tym samym wieku. Wyglądała na bardzo żywo zaangażowaną i pełną też, lecz mężczyzna, do którego zwracała się z takim przejęciem, po prostu nie zdawał sobie sprawy z jej obecności:

– Mało sypiasz, Maryla za dużo od ciebie wymaga. Przecież wiesz, że nigdy nie byłeś mocny. Dlaczego nie ubierasz pulovera. Nigdy nie powinieneś się ożenić z taką kobietą, która myśli tylko o sobie.



I tak dalej, i tak dalej. Wywnioskowałem z tego, że była to jego matka, wbrew temu, że była w tym samym wieku. Jak długo ona tak za nim chodziła? Czy to śmierć tak wygląda, że jest się niewidocznym dla żywych, a na dodatek stale wraca się w ich sprawy.

– **Nie gromadź swoich skarbów na ziemi! Bo gdzie twoje skarby są, tam jest serce twoje.**

Nigdy nie byłem dobry w zapamiętywaniu Pisma Św., lecz te słowa Jezusa wstrząsnęły mną jak szok elektryczny. Prawdopodobnie ci ludzie-cienie: biznesmen, kobieta błagająca o papierosa, ta matka – stracili kontakt z ziemią, a ich serca pozostały tutaj. Czy ja taki jestem? Pomyślałem nieco przerażony, jak dążyłem do wyróżnienia w harcerstwie, byłem prymusem, jak chciałem studiować. Gdzie było moje serce, czy skupiało się tylko na mojej osobie, czy tak się zapomniałem jak oni?

**Popatrz na mnie** – powiedział mi Jezus, nim wyruszyliśmy w te niezwykłą podróż. Kiedy tak zrobiłem, kiedy patrzyłem na niego, przerażenie zniknęło, chociaż straszliwe pytanie pozostało. Ciężko byłoby mi znieść to bez Niego, wszystko co mi pokazał. Nadal odbywaliśmy podróż z szybkością myśli, gdzieś po rodzinnej ziemi, z miasta do miasta – w Stanach Zjednoczonych, a możliwe, że i po Kanadzie. Wszystko było jakby normalnie, z wyjątkiem tych tysięcy bezcielesnych istot, które mogłem teraz widzieć w ich normalnych miejscach zamieszkania.

W jednym domu młody mężczyzna, postępując za starszą osobą z pokoju do pokoju, mówił: Przepraszam tatusiu, ja nie wiedziałem, co to może dla mamy spowodować, ja tego nie rozumiałem.

Lecz chociaż ja go słyszałem bardzo dobrze, to oczywiście starszy człowiek nie mógł go słyszeć wcale. Niósł on tacę do pokoju, gdzie starsza kobieta siedziała w łóżku. – Przepraszam tatusiu, przepraszam mamusiu – mówił znów ten młody mężczyzna. Powtarzał tak z głębokim przejęciem do uszu, które nie mogły go usłyszeć. Żeby już dłużej tego nie słuchać, odwróciłem się do Jasności stojącej za mną. Lecz chociaż odczułem strumień współczucia płynący od Niego do pokoju, nie rozjaśniło to mojego umysłu.

Kilka razy przeszliśmy obok podobnych scen. Chłopiec podążył po korytarzu szkoły za kilkunastoletnią dziewczynką. – Przepraszam Nancy!...

O Jezu, czemóż im tak przykro? Błagałem o wyjaśnienie: dlaczego oni przepraszają ludzi, którzy ich nie słyszą? Ze Światła za mną nadeszła myśl: **To są samobójcy w kajdanach konsekwencji tego, co uczynili.** Ta informacja mnie oszołomiła, a wiedziałem, że pochodzi ona od Niego. Więcej takich scen nie oglądaliśmy, gdyż zrozumiałem już prawdę, którą chciał mi pokazać. Stopniowo zacząłem zauważać coś jeszcze: wszyscy żyjący ludzie otoczeni byli iluminującym światłem, tak jakby źródło tego światła było w ich ciele. Najpierw pomyślałem, że jest to odbicie światła od Osoby, z którą byłem. Lecz budynki, które odwiedzaliśmy ani też inne obiekty nie dawały tego światła, a bezcielesni ludzie nie mieli tego światła. W końcu zauważyłem, że ja również pozbawiony jestem tej świetlistej powłoki.

W tym momencie Jasność przemieściła mnie do środka budynku, który mógł być bazą marynarki. Tłum ludzi, przeważnie marynarzy, oblegał bar chyba w trzech rzędach, podczas gdy inni tłoczyli się przy bufecie. Kilku z nich piło piwo, ale większość piła wódkę i to tak szybko, jak tylko dwóch spoconych barmanów zdołało nalewać. Wtem zauważyłem coś dziwnego. Pewna ilość mężczyzn stojących przy barze nie była w stanie podnieść wódki do ust. Widziałem, jak bez końca starali się podnieść kieliszki i ręce przelatowały im przez szkło, przez drewniany bar, przez ciała pozostałych, pijących przy barze. Ci właśnie ludzie nie mieli świetlanej aureoli.

A więc kokon światła pochodzi tylko od fizycznego ciała. Zmarli, którzy je utracili, utracili tak samo “drugą skórę”. Oczywiście jest, że ci żywi ludzie otoczeni świetlistą powłoką, którzy pili i rozmawiali ze sobą wzajemnie, nie mogli widzieć tych ogromnie spragnionych bezcielesnych ludzi, ani też nie mogli czuć ich zapamiętałych starań wrywania kieliszków z ich rąk. Było dla mnie również jasne, że ci ludzie bez twardości mogli się widzieć i rozmawiać wzajemnie. Wariackie kłótnie wybuchały co chwilę między nimi o kieliszek, którego zresztą żaden z nich nie mógł podnieść do ust.

Przypomniałem sobie, że widziałem w Richmond takie mocno pijące towarzystwo, lecz to co tu zobaczyłem, przeszło moje najśmielsze wyobrażenie o pijaństwie. W pewnym momencie młody marynarz podniósł się niepewnie z wysokiego stolika, zrobił dwa lub trzy kroki i zwałił się ciężko na podłogę. Dwóch jego kumpli podeszło, żeby wynieść go z tłumy, lecz w tym czasie zauważyłem coś niezwykłego, gdyż biały świetlisty

kokon leżącego bez świadomości marynarza, po prostu się otwarł. Oddzielił się przy koronie głowy, a następnie opadł z całej głowy i ramion. Błyskawicznie jedna z bezcielesnych istot, która towarzyszyła mu przy barze, znalazła się nad nim. Zawista jak spragniony cień, chciwie wchłaniając każdy wydech młodego marynarza. W pewnym momencie sprężył się, a przy nim jak jakiś wstrętny, nienasycony potwór. Nagle bezcielesne indywiduum znikło. Wszystko to się stało, zanim dwóch mężczyzn zdołało podnieść na nogi nieprzytomnego marynarza. Przez minutę wyraźnie widziałem dwie istoty w jednej. Kiedy towarzysze postawili marynarza przy ścianie, był już tylko jeden.

Dwa razy jeszcze powtórzyła się ta makabryczna scena. Po zwaleniu się pijanego, aureola światła otwierała się i któryś z bezcielesnych ludzi wpływał do wnętrza pijaka. Czyżby to światło było czymś w rodzaju tarczy ochronnej? Jakimś zabezpieczeniem przeciw... Przeciw bezcielesnym istotom, jaką ja jestem? Przypuszczalnie te bezsubstancyjne istoty posiadały kiedyś swoje ciało, tak jak ja je miałem. Prawdopodobnie w czasie, kiedy je posiadały, uzależniły się od alkoholu tak bardzo, że stało się sprawą nie tylko ciała, ale i myśli, a nawet duszy. Kiedy utracili swe ciała, na krótko mogły wejść w posiadanie innego. Zostały jednocześnie w całości pozbawione rzeczy, których nie mogły przestać pragnąć.

Zupełnie jak zimny dreszcz, przeleciała przeze mnie myśl, że jest to jedna z form piekła. Dotąd wyobrażałem je sobie jako jakieś ogniste miejsce, gdzieś pod ziemią, gdzie tacy źli ludzie jak Hitler będą płonąć na zawsze. Czy jednak piekło miałoby istnieć na tej samej powierzchni, gdzie żyjący, którzy nie są świadomi jego obecności? Czym to właściwie jest pozostanie na ziemi, bez możliwości skontaktowania się z jej żywymi mieszkańcami? Pomyślałem o matce, której syn nie słyszał. O kobiecie, która pragnęła papierosa. Pomyślałem o sobie, pochłoniętym jedną myślą dostania się do Richmond, kiedy nikt nie mógł mnie zobaczyć ani pomóc. Płonąć największym pragnieniem w miejscu, gdzie jest się najbardziej bezsilnym! Faktycznie, to może być piekłem. Istotnie tak. To jest piekło, a ja jestem teraz w jego składzie, pomiędzy tymi bezcielesnymi stworami. Zmarłem. Utraciłem materialną część ciała i teraz istnieję w rzeczywistości, która nie odpowiada mi w żaden sposób... Ale jeśli to jest piekło i jeśli tu już nie ma nadziei, to dlaczego On jest tutaj ze mną? Dlaczego moje serce ożywia się radośnie za każdym razem, kiedy patrzę na Niego? Mimo wszystko On sprawił na mnie największe wrażenie w czasie tej podróży. Wszystkie te niespodzianki były niczym, w porównaniu do zasadniczej sprawy, która się tu wydarzyła. Było całkiem jasne, że pokochałem Osobę, z którą tu byłem. Gdziekolwiek spojrziałem, moja uwaga skupiała się głównie na Nim.

Cokolwiek jeszcze zobaczę, nic nie może się z Nim porównać. Intrygowało mnie to, dlaczego inni go nie widzą? Był zbyt jasny, żeby Go mogli dostrzec! Można było także odczuć miłość płynącą od Niego, podobnie jak strumień ciepła od płonącego ognia. A ci inni podobni do mnie, których oczy nie mogły ulec zniszczeniu od blasku tego niesamowitego światła, bo ich nie mieli. Jakże pomogłoby im to, gdyby odczuli wewnątrz siebie tę płonącą Miłość i Współczucie! Jak oni mogli nie zauważyć tego Światła, które jaśniejsze było niż słońce w południe. Czy może ci inni też mogliby Go widzieć, gdyby ich uwaga nie była przykuta do fizycznego świata, który już utracili?

**Gdzie Twoje serce jest...** Tak długo, jak moje serce pragnęło dostać się do Richmond, tak długo nie byłem w stanie zobaczyć Jezusa. Możliwe, że tak długo, jak nasze pragnienia koncentrują się na czymś jeszcze, tak długo blokujemy się nawet przed Nim. Lecieliśmy znowu. Opuściliśmy bazę marynarki wojennej wraz z wydarzeniami na ulicach i w barach. Teraz znaleźliśmy się w wymiarze, gdzie podróż wydawała się potrzebować wiele czasu, na skraju rozległej równiny. Dotychczas odwiedzaliśmy miejsca, gdzie umarli i żywi żyli obok siebie, gdzie bezcielesni, kompletnie niezauważeni przez żywych, krążyli wokół nich i spraw, które skupiały ich uwagę i pragnienia.

Natomiast teraz, chociaż byliśmy gdzieś na powierzchni Ziemi, nie było już żywych ludzi. Równina była zatłoczona hordami upiornych istot, nigdzie nie było człowieka z aureolą światła. Wszyscy oni byli z tej samej substancji co ja. Na dodatek byli najbardziej rozgniewani, sfrustrowani i nieszczęśliwi jakich kiedykolwiek widziałem. – O Panie Jezu – krzyknąłem – gdzie my jesteśmy?

W pierwszym momencie pomyślałem, że to jest wielkie pole bitwy. Wszyscy wokół kottowali się w walce na śmierć i życie. Walczyli gołymi rękami, nogami, zębami. Zauważyłem też, że nikt nie był zraniony. Nie było krwi, nie było zabitych. Ciosy, które wydawały się znosić przeciwnika, zastawały go w takiej samej po-

zycji, w jakiej był poprzednio. Nikt z nich nie miał przewagi, każdy boksował powietrze. W końcu zdałem sobie sprawę, że oczywiście nie mogli się pozabijać, chociaż bardzo tego chcieli, ponieważ zamierzona ofiara już nie żyła. Miotali się we wściekłym szaleństwie. Wcześniej podejrzewałem, że widzę piekło, teraz byłem już tego pewny. Wszystko, co oglądałem do tego momentu, miało ścisły związek ze światem fizycznym, w którym już nie mieliśmy przebywać. Teraz zobaczyłem innego rodzaju związki, nie było tu zwykłych ludzi ani też dusz, które można by ujarzmić. Kreatury te wydawały się być zamknięte w nawykach swoich myśli i emocji, skierowanych w stronę nienawiści, zmysłowości i żądzy destruktywnego działania.

Jeszcze bardziej szkaradnie niż wzajemne bicie i kopanie wyglądały nadużycia seksualne spełniane w gorączkowej pantomimie. Przewrotność i złośliwość, o jakiej nie miałem pojęcia, była wokół nas. Niemożliwe było stwierdzić, czy sfrustrowane wycie, które do nas dochodziło, było rzeczywistym głosem, czy też była to transformacja zdesperowanych myśli. W istocie ten ochydny motłoch wydawał się nie zdawać z tego sprawy. Cokolwiek ktoś pomyślał, nawet jakiś przebłysk myśli, natychmiast przedstawiał się obrazowo dokoła niego, materializował się bardziej kompletnie, niż słowa mogły to wyrazić, szybciej niż mogłaby to przynieść fala dźwięku.

Myśli krzyczały, przechodząc w echo: "Przecież mówiłem ci", "Zawsze o tym wiedziacieś", "Czy nie ostrzegałem cię" i tak bez przerwy. Poczułem, że mi niedobrze, kiedy rozpoznałem tu moje własne myśli. To przecież mój głos, ten znajomy mi ton prawego młodzieńca, który wygrywał nagrody, który był ministrem. W wieku dwudziestu lat nie rozwinęłem w sobie jeszcze fizycznych nawyków, które tak zniewoliły istoty tłoczące się przy barze w bazie Marynarki wojennej, lecz w tym ujadaniu zawiści i wywyższaniu się słyszałem siebie aż nazbyt dobrze. Widziałem, że, będąc obok mnie, On nie chciał nikogo oskarżać, lecz współczuł wszystkim nieszczęśliwym stworom, które zraniły jego serce. Na pewno nie chciał, żeby ktokolwiek tu był. W takim razie co ich tu przytrzymuje? Nie mogłem pojąć, dlaczego osoba, na którą wrzaskliwie napadał człowiek z wykrzywioną twarzą, po prostu nie odeszła na bok lub dlaczego młoda kobieta nie odalila się na setki kilometrów od innej, która z taką furią okładała ją pięściami. Nie było tu żadnego płotu. Nic nie zabezpieczało od swobodnego oddalenia się.

Chyba... chyba, że dla nich nie było w tym świecie samotnego miejsca. Nie było prywatnego kąta w tym świecie bez ścian. Cóż to może być? – poczułem panikę w myślach. Żyć tak zawsze, kiedy prywatne myśli nie są wcale prywatnymi? Nie móc ich zataić, nie móc ich ukryć, nie móc się jakoś zabezpieczyć, tylko być po prostu tym, czym się rzeczywiście jest. Jakie to nieznośne. Chyba, że każdy wokół mnie ma te myśli, a jednym pocieszeniem jest to, że znajdziemy kogoś tak samo obrzydliwego. Prawdopodobnie takie może być wyjaśnienie sensu tej ochydnej równiny. Być może każda z tych kreatur znalazła w swym towarzyszku godnego siebie kompana, tak wypełnionego pychą jak on sam, a razem było im po prostu raźniej.

To nie Jezus ich porzucił, lecz oni sami uciekli od światła, które ujawnia ich ciemność. Stopniowo uświadamiałem sobie, że jest jeszcze ktoś na tej nieszczęśliwej równinie. O takim samym kształcie migotające światło, które z początku uniemożliwiło mi jego dostrzeżenie. Teraz po przystosowaniu oczu zdołałem je zobaczyć. Dostrzegłem ogromną ilość tych postaci, pochyloną nad każdym stworom, może nawet rozmawiającą z nim. "Czy te światła to Aniołowie?" "Czy to światło za mną to też Anioł?" Lecz myśli, które cisnęły mi się w tym małym szpitalnym pokoju były tak sprzeczne, "Ty jesteś w Osobie Syna Bożego". "Czy to możliwe, że takie ludzkie wraki, nędzne i tak samo bezwartościowe jak ja, mają również Jego opiekę?" Czy w Królestwie, w którym nie były mi znane ani prawa przestrzeni, ani czasu, mógł on być obecny przy każdym z nich, jak jest ze mną?"

Nie wiem. Jasne jest jednak, że żadna z tych kłócących się istot nie jest opuszczoną. Wszystkie były ostrzegane, namawiane, wspierane. Zauważalnym faktem było również, że nie zdawały sobie z tego sprawy. Gdy Jezus lub jego Aniołowie mówili do nich, oni ich oczywiście nie słuchali. Nie było chwili przerwy w strumieniu nienawiści płynącej z ich serc, oczy ich widziały tylko najbliższą postać, którą pragnęły upokorzyć. Wydawało mi się to niemożliwe, żeby ktoś jeszcze oprócz mnie nie zdawał sobie sprawy z obecności tej ogromnej ilości świetlnych postaci. Właściwie to dopiero teraz uświadomiłem sobie, że te świetlne postaci były wszędzie. Uświadomiłem sobie też, że Jezus pokazywał mi po prostu tak wiele, jak wiele byłem w stanie zobaczyć. Aniołowie zapelniali miasta pełne ludzi.

Byli obecni na ulicach, w fabrykach i domach, które odwiedzaliśmy. Nawet w barze, gdzie tak jak i ja wcześniej nikt nie był świadomy ich obecności. Nagle zdałem sobie sprawę, że coś ogólnego wynika z tych wszystkich widzianych przeze mnie scenach. Po prostu nie jest dobrze dla ludzi, jeżeli w czasie życia na ziemi odwracają się od Jezusa, aby dać się ponieść fizycznym zachciankom, wypełnieniu pragnień ciała fizycznego i samolubstwa. Nie jest też dobrze dla ludzi, jeżeli po śmierci nie mogą dostrzec Jego Świata.

## ROZDZIAŁ VI

Jesteśmy znowu w drodze. Sceny przed nami zmieniają się, otwierają. Zmieniła się jakość światła, a powietrze jest bardziej przejrzyste, co dało mi możliwość zobaczenia tego, co było już oczywiste przez cały czas. Znowu Jezus ukazał mi tyle, ile byłem w stanie pojąć. Najpierw pokazał mi królestwo piekła wypełnione istotami, które znalazły się jakby w pułapce uwagi skierowanej na siebie. Teraz po oderwaniu się od niego zacząłem spostrzegać całkiem inne Królestwo! Ogromne budynki stojące w cudownym słonecznym parku, wzajemnie dobrane konstrukcje budowli, były przykładem właściwego planowania przestrzennego. To co widziałem, niemożliwe jest do porównania z czymkolwiek na Ziemi, wszystkie szkoły i uniwersytety Ziemi mogłyby być tylko częścią tego kompleksu.

Weszliśmy do innego wymiaru, jakby do innego rozdziału istnienia. Po hałasie miast wprzęgniętych w wojnę wrzasku w piekle, tutaj panował spokój. Weszliśmy do jednego z budynków. Wysoki korytarz był przedłużeniem wysokiego wejścia. Powietrze było tak spokojne, że obawiałem się przestraszyć ludzi przechodzących w przejściu. Nie mogę powiedzieć, czy to byli mężczyźni, czy kobiety, młodszy czy starsi. Od stóp do głów pokryci byli habitami, co sprawia wrażenie jakby byli mnichami, ale atmosfera tego miejsca w niczym nie przypominała klasztoru. Najprawdopodobniej było to ogromne centrum naukowe, w którym wyczuwało się podniecenie wielkich odkryć. Każdy, kogo mijaliśmy w szerokim hallu czy na korytarzu, wydawał się być pochłonięty jakąś sprawą, nie rozmawiał zbyt wiele. Nie wskazywało to na brak przyjaźni, raczej na odseparowanie spowodowane całkowitą koncentracją.

Gdziekolwiek można było jeszcze zobaczyć tych ludzi, widać było, że dominuje w nich jakieś głębokie skupienie uwagi na niezwykle ważnym zadaniu, które wymaga rozwiązania. Przez otwarte drzwi rzuciłem wzrokiem na salę ogromną, lecz pustą. W kilku pokojach zakapturzone postacie pochylone były nad wykresami i diagramami, lub też siedziały nad dokumentacją z migającymi światełkami. Mogłem się pochwalić rozpoczęciem studiów chemii, biologii, fizyki i matematyki. Lecz te prace naukowe były czymś poza moją wyobraźnię, nie mogłem nawet odgadnąć, czego one dotyczą. Czułem, że są to eksperymenty o ogromnym znaczeniu, może nawet dziesiątki czy setki tych eksperymentów.

– Jezu! Co oni robią? – pytałem. Lecz chociaż wiedza płynęła od Niego jak rzeka, zdołałem tylko odczuć, że źródłem działalności tej placówki naukowej jest Bóg. Żadne inne wyjaśnienie nie rozjaśniło moich myśli. Jednakże odczułem tę miłość, która zawierała współczucie i zrozumienie dla mojej ignoracji i braku zrozumienia. Ponadto... pomimo że był On bardzo zadowolony z tego, co wokół nas się działo, czułem, że to jeszcze nie wszystko, że zobaczą jeszcze coś więcej. Szedłem za nim do następnych budynków zamieszkałych przez myśl. Weszliśmy do studia muzycznego, gdzie trudno mi się było z początku zorientować, ponieważ muzyka była jednocześnie komponowana i przedstawiana. Skomplikowane rytmy, tony w skali, jakiej nie miałem pojęcia. Dlaczego to? – pomyślałem – czyżby Bach był tylko początkiem? Następnie przeszliśmy przez bibliotekę o wymiarach całego Uniwersytetu w Richmond. Widziałem pokoje wypełnione od podłogi do sufitu dokumentami spisanyymi na pergaminie, glinie, skórze, metalu, papirusie. Przyszło mi na myśl, że właśnie tutaj są ogromnie ważne księgi Świata. Natychmiast mnie to jednak obruszyło. Jakżesz książki mogły być pisane jeszcze gdzieś poza Ziemią! Ale przekonanie pozostało, chociaż myśl go odrzucała.

“Pomysł porusza Świat” – powracała mi do głowy sentencja, kiedy tak przechodziliśmy przez sale wypełnione studiującymi w skupieniu uczniami. W pewnym momencie weszliśmy do jednego z najmniejszych pokoi, prawie aneksu.

“Tutaj znajduje się centrum myśli tej Ziemi”. Wyszliśmy na zewnątrz do cichego parku. Następnie do budynku wyposażonego w urządzenia techniczne. W dziwnej przestrzennej konstrukcji, gdzie dotarliśmy wąskim chodnikiem, znajdowała się zwyczajna woda. Zbiornik znajdował się w czymś w rodzaju laboratorium, ale równie dobrze, ze względu na swą wielkość, mogło to być obserwatorium kosmiczne. Z każdą chwilą narastała dla mnie tajemniczość tego miejsca.

– Czy to jest niebo, Panie Jezu? – zagadnąłem. Przytulny spokój i jasność. Oni z pewnością są w niebie. Dlatego może są też pozbawieni siebie, tego wrzaskliwego Ego. Czy kiedy byli na ziemi, to dorastali bez samolubnych celów? Tak się rozwijali i tak nadal się rozwijają – odpowiedź nadleciała jak promień słońca. A jeżeli tu ciągle się rozwijają, to znaczy, że oni na ziemi całkowicie się nie rozwinęli. Więc... pewno jest tu coś takiego, czego tym geniuszom brakowało. A jeśli tego samego brakowało “tym z niższego królestwa”? Wynika z tego, że ci pozbawieni egoizmu naukowcy również w jakimś stopniu byli winni, że nie mogli zobaczyć Jezusa. A może On to sprawił, że nie mogli go zobaczyć? Z pewnością coś niecoś o Nim wiedzieli. Faktem jest jednak, że byli ogromnie pochłonięci jedną sprawą. Pożądanie prawdy tak dalece ich zaabsorbowało, że oddzielili się od Istoty Prawdy stojącej pośrodku, a poszukiwanej przez nich w książkach i badaniach? Nie wiem. Jego bezszelestna miłość, moje olśnienie, wszystko o co chciałem zapytać, doprowadziło mnie do wniosku, że nie może mi więcej powiedzieć, niż ja mogę zobaczyć. Być może nie mam jeszcze takiej świadomości, żebym mógł zrozumieć wyjaśnienia. Najważniejsze, że ciągle stoi obok mnie. Cokolwiek nowego oglądamy i tak On pozostaje w centrum mojej uwagi.

Może to było też powodem, że nie pamiętam w którym momencie opuściliśmy powierzchnię ziemi. Do tej chwili miałem wrażenie, że podróżujemy na powierzchni ziemi, chociaż nie miałem pojęcia w jaki sposób. Teraz znajdowaliśmy się gdzieś ponad Ziemią, nie mogłem jej jednak dostrzec. Natomiast wokół była ogromna pustka, nie czułem jednak z tego powodu strachu, coś zaczęło w tej pustce wibrować. Wkrótce zobaczyłem niezwykle rozległe, ogromne miasto bez krańców, żarzące się blaskiem na ogromną odległość. Ten blask bił ze wszystkiego, ze ścian domów, z ulic, nawet z postaci, które teraz dostrzegłem. Podobnie jak blask postaci, która mnie prowadziła. W tym czasie nie przeczytałem jeszcze książki o objawieniu. Mogłem tylko ze zdziwieniem patrzeć na ten świetlany spektakl, podziwiając cudowne światło każdego budynku. Każdy z mieszkańców tego miasta musi być widziany na odległość wielu lat świetlnych. Ciekawiło mnie, czy te promieniste istoty kierują w swoim życiu uwagę w stronę Jezusa.

Czy ja chociaż raz w swoim życiu szukałem Go tak szczerze, żeby Go polubić, pokochać... Kiedy zadałem sobie te pytania, dwie ze świetlistych istot oderwały się od miasta w naszym kierunku, przenosząc się przez niezmierną przestrzeń z prędkością światła. Lecz kiedy one kierowały się do nas, my oddalaliśmy się jeszcze szybciej. Odległość wzrastała i utraciłem widoczność. Nawet jeśli zapłakałem z powodu tej straty, to przecież widziałem, że nie stać mnie na więcej, jak na przelotne spojrzenie w bezgraniczne niebo. Pokazał mi tyle, na ile to było możliwe, teraz pędziliśmy z powrotem. Ściany zamknęły się znowu wokół nas, ciasno jak w pudle. Tak niedawno temu tu byłem, a miałem wrażenie, że to było w poprzednim moim życiu. Jezus ciągle jeszcze był przy mnie. Inaczej moja świadomość nie byłaby w stanie znieść nagłej zmiany położenia, z nieskończonego kosmosu do małej, ciasnej komórki zwanej szpitalną salą. Wspaniałe miasto ciągle iskrzyło się w moich myślach, rodząc tęsknotę do powrotu.

Z całkowitą obojętnością zauważyłem, że jakaś postać leżała pod prześcieradłem na łóżku, które wypełniało niemal cały pokój. Jezus powiedział mi, że ja należę jednak do tej postaci pod prześcieradłem, że zadanie, jakie jest wyznaczone dla mnie, odnosi się do mnie jako całości, która obejmuje też to, co leży w łóżku. Podeszedłem do tego bliżej i poczułem, że moje widzenie się kończy. Jasność znikła. Rozpaczliwie krzychałem: “Nie zostawiaj mnie, przygotuj mnie do zamieszkania w świetlistym mieście, nie porzucaj mnie w tym ciemnym i ciasnym miejscu!” Przypomniłem sobie te niedawną, lecz trochę zapomnianą już historię, jak desperacko przebiegałem oddziały i sale tego szpitala w poszukiwaniu “siebie”. Od momentu odczucia wielkiego osamotnienia przeskoczyłem do wspaniałej przynależności, jaka nie była mi znana. Światło Jezusa wkroczyło w moje życie i wypełniło mnie kompletnie, a to żeby istnieć bez niego stało się dla mnie nie do pomyślenia. Moje szczerze błaganie nie zmieniło sytuacji, czułem jak umyka ze mnie świadomość. Mój umysł zaczął się zamazywać. Po chwili nie wiedziałem już, o co chciałem walczyć. Poczutem jak już płonie

moje gardło i przygniata mnie okropny ciężar na klatce piersiowej. Otworzyłem oczy, ale coś leżało na mojej twarzy i przesłaniało mi widok. Chciałem to ściągnąć, ale poruszenie ramion stało się podobne do dźwignia sztaby ołowianej. W końcu zdołałem złożyć razem ręce. Na palcu lewej dłoni wyczułem pierścień z owalnym kamieniem. Powoli przekręciłem go wokół palca i ciemność pokryła moje oczy.

## ROZDZIAŁ VII

Opowiedziałem tę moją historię Fredowi Owenowi w czasie czterech kolejnych spotkań. W międzyczasie zadawał mi pytania lub też prosił o wyjaśnienie – dawał mi do zrozumienia, że raczej o szczegóły nie dba. Kiedy czas naszego posiedzenia zakończył się, siedział nadal zasmucony. Spojrzałem na zegarek, przedłużyliśmy seans o dziesięć minut.

– Czy ty wróciłeś do swego ciała? – zapytał w końcu.

– Tak to teraz rozumiem – powiedziałem. W tym czasie niewiele wiedziałem. Przez następne dwa, trzy dni miałem niewielką świadomość pobytu na ziemi. No wiesz, miałem takie wizje czy sny, które się miewa przy bardzo dużej gorączce.

– Powiedziałem mu, że kiedy znowu odzyskałem świadomość, to przede wszystkim zdawałem sobie sprawę, że jestem chory. Problemy mojego ciała przystaniały mi całą resztę. Kiedy jednak byłem poza ciałem – trudno to wyjaśnić, ale nie czułem ani bólu, ani fizycznych dolegliwości. Następną rzecz, którą pamiętam z całą pewnością to to, że jak już na dobre powróciłem, to przede wszystkim czułem ogromny ból głowy, a przed sobą zobaczyłem uśmiechniętą buzię pielęgniarki.

– Miło witać cię z powrotem między nami – rzekła. Przez jakiś czas nie byliśmy pewni, czy zechcesz to zrobić.

Wycedziłem przez moje zbolące usta.

– Którego dziś mamy?

– Jest Wigilia Bożego Narodzenia, panie Ritchie.

Próbowałem wymyśleć jakieś inne pytania. Chciałem także nawiązać do tego, co się ze mną wydarzyło. Dowiedziałem się też, że nazywała się Irvine i że była porucznikiem.

– Wydarzyło się ze mną coś najbardziej zdumiewającego – zacząłem wreszcie – coś takiego, o czym każdy na świecie powinien wiedzieć.

Przerwał mi atak kaszlu, porucznik Irvine podłożyła mi rękę pod plecy i uniosła mnie nieco, żebym mógł napić się wody.

– Nie mów więcej – powiedziała – wpadnę do ciebie później.

Zacząłem się zastanawiać, co mógłbym jej powiedzieć? Czy to, że widziałem Boga? Czy to, że byłem w piekle? Czy to, że dane mi było spojrzeć chwilę na niebo? Mogłaby pomyśleć, że straciłem rozum. Cały tydzień, cały ten tydzień, jeżeli tylko ktokolwiek zjawił się w pokoju, próbowałem mu określić światło, które wypełniało to pomieszczenie i pytania, które były mi zadawane. Nie udało mi się powiedzieć więcej niż kilka pierwszych słów.

– Odpocznij nieco, nie mów tak wiele – powstrzymywał mnie doktor albo pielęgniarka, gdy zamiast mojego głosu słyszeć było żałosne łapanie powietrza. Troskliwy zespół o wiele bardziej zainteresowany był stanem mojego zdrowia, temperaturą czy jakością kroplówki niż tym, co chciałem powiedzieć. Zauważyłem, że moją chorobę traktowano z większą uwagą niż powszechnie przypadki. Stopniowo dni przemijały, udało mi się powiązać wydarzenia, które przeżyłem w czasie spotkania z Jezusem. Tyle na dzisiaj Fred. Ale jutro mogę ci powiedzieć, czego dowiedziałem się od lekarzy. Fred przychodził teraz codziennie, chociaż nawet krótki spacer z parkingu do gabinetu lekarskiego pozbawiał go tchu. Zdecydowałem się więc następnego dnia podsumować tę całą historię...

## ROZDZIAŁ VII

Dowiedziałem się, że kiedy upadłem w czasie prześwietlenia, przeniesiono mnie do małej izolatki w pobliżu dyżurki, gdzie po zbadaniu stwierdzono obustronne zapalenie płuc. Przez następne dwadzieścia cztery godziny, wbrew wszelkim staraniom lekarzy mój stan się pogarszał. Wcześniej rano dwudziestego pierwszego grudnia, dwadzieścia cztery godziny po tym, jak po utracie przytomności zostałem przeniesiony do małego pokoju, sanitariusz wykonywał swój rytunowy obchód. Kiedy przyszedł do mnie, nie wyczuł pulsu, tak samo nie odczuł bicia serca. Wreszcie sprawdził ciśnienie i tym razem również bez powodzenia. Pobiegł więc po lekarza dyżurnego. Lekarz zjawił się natychmiast, ponownie sprawdził – z tym samym rezultatem. W końcu powiedział do sanitariusza – Zgadza się, zmarł. Kiedy zakończysz obchód oddziału, przygotuj go do trupiarni – ciężko westchnął; wielu zmarło już w tym miesiącu w Camp Barkley.

Niechętnie ułożył ręce wzdłuż ciała, przykrył całą postać wraz z twarzą prześcieradłem i polecił sanitariuszowi to, co mu zostało jeszcze do zrobienia. Sanitariusz kontynuował dalej obchód. Następnie wrócił do izolatki i zobaczył mnie przykrytego prześcieradłem. Było to widocznie w tym czasie, kiedy ja desperacko poszukiwałem swego ciała...

Okolo dziewięć minut później, zgodnie z raportem szpitala, sanitariusz powrócił, by przygotować ciało do przetransportowania do trupiarni. Odniósł jednak wrażenie, że ręka na prześcieradle się poruszyła. Pobiegł więc po lekarza dyżurnego. Lekarz ponownie przyszedł. Przebadał mnie i orzekł, że zmarłem bez wątpienia. Pomyślał z pewnością, że sanitariusz po długiej, samotnej nocnej służbie ma jakieś przywidzenia. Następnie zdarzyło się coś ogromnie niezwykłego, z czego w pełni zdałem sobie sprawę dopiero po latach, kiedy już zostałem lekarzem. Sanitariusz odmówił zgody zaakceptowania orzeczenia przełożonego oficera.

– Być może – zasugerował – mógłby pan dać mu zastrzyk adrenaliny bezpośrednio do serca.

Po pierwsze było nie do pomyślenia, aby ktoś spoza kręgu zawodowego mógł się opierać oficerom, szczególnie w sprawach medycznych, gdzie sanitariusz był zwykłym żołnierzem, a oficer licencjonowanym lekarzem. Po drugie, to co sanitariusz sugerował, z medycznego punktu widzenia było co najmniej dziwne. W owych czasach, przed powszechnym stosowaniem masażu serca oraz elektrycznego wstrząsu, zastrzyk adrenaliny bezpośrednio do serca był istotnie stosowany, ale w przypadkach wstrzymania pracy serca. Dokonywano go tylko wówczas, gdy serce przestawało bić, a ogólny stan zdrowia pacjenta był dobry i po rozruszaniu serca można było mieć nadzieję na pełne odzyskanie zdrowia, np. w przypadkach ratowania po zatonięciu. Natomiast, kiedy cały system człowieka był zniszczony na skutek długotrwałego zapalenia płuc, dodatkowe parokrotne poruszanie mięśnia sercowego, po prostu nie przynosi korzystnych efektów. Technicznie można uzyskać parominutowe bicie serca, lecz nie zmieni to stanu zdrowotnego. Ponadto, co medycynie jest powszechnie znane, mój mózg po długim okresie niedotlenienia mógł ulec beznadziejnemu zniszczeniu...

Mimo że wiedzący o tym wszystkim lekarz dyżurny był świadomy bezsensu dalszego działania, zaakceptował sugestie szeregowego sanitariusza.

– Daj sterylny opatrunek z apteczki – powiedział do niego. Nim sanitariusz wrócił, wypełnił strzykawkę adrenaliną i wbił prosto w serce. Z początku nierówno, później już bardziej rytmicznie serce zaczęło bić, wprawiając w niezwykle zdumienie dwóch medyków stojących przy mnie. W chwilę później stwierdzili wzrost ciśnienia krwi i coraz wyraźniejszy oddech... Nie oznaczało to natychmiastowego odzyskania zdrowia. Lecz tylko teraz, po dwudziestu siedmiu latach praktyki medycznej, mogę w pełni wyrazić podziw i uznanie dla załogi szpitala, która podniosła mnie na nogi. Po zameldowaniu mojego przypadku przez lekarza dyżurnego jego zwierzchnikowi, odwiedził mnie osobiście naczelny dyrektor szpitala, dr Donald G. Francy, który nazwał moje uzdrowienie "najbardziej niezwykłym medycznym przypadkiem o jakimkolwiek słyszał". Później w raporcie napisał: "Przypadek powrotu ze stanu śmierci szeregowca George G. Ritchie i odzyskania przez niego pełnego zdrowia, można wytłumaczyć jedynie przyczynami nadnaturalnymi".

## ROZDZIAŁ VIII

Jakkolwiek opowiedziałem Fredowi Owen szczegóły powrotu do zdrowia, to w owym czasie bardzo mało mnie to interesowało. Powrót do życia ziemskiego przyjąłem raczej z niezadowoleniem. Leżąc tak schorowany w łóżku, starałem się objąć myślą to, co się wydarzyło w tym niewielkim pokoju szpitalnym. Myślałem o Jezusie. Rozmyślałem, w jaki sposób mógłbym opowiedzieć o Nim innym ludziom. Zastanawiałem się, jak to mogło być, że żyjąc dotychczas, nie zauważałem Go.

Po jakimś czasie, gdy opanowałem ból z powodu odejścia Jezusa – z uczuciem radości w sercu – zacząłem witać wszystkich, ktokolwiek zjawiłby się w pokoju.. Szczególnie starałem się wyjaśnić moje przeżycia siostrze Retta, która oficjalnie nazwała się porucznik Retta Irvine. Za każdym razem, kiedy w trosce o porządek i moje zdrowie zjawiała się w pokoju, zaczynałem od nowa.

– To było jakby jasność słońca, jakiej nigdy nie oglądamy, tylko że to nie było płonące słońce...

Kłopot w tym, że brakowało mi porównań, skojarzeń, brakowało słów, żeby wyrazić choćby najmniejszą część tego, co się stało. Mogłem zauważyć, że moje porównania tylko komplikowały opowiadanie i coraz mniej z tego rozumiała. Retta Irvine nie miała wtedy więcej jak dwadzieścia sześć czy dwadzieścia siedem lat. Ta ładna blondynka, smukła z subtelnym uśmiechem, w moich oczach wydawała się jednak panią w średnim wieku, której mogłem wylać swojego żalu. Toteż skoro nie mogłem jej wyjaśnić Jego blasku i tego, co mi ukazywał, zacząłem jej opowiadać, jak usiłowałem dostać się na studia medyczne trzy tygodnie temu.. Natychmiast ją to zainteresowało. Było dla mnie wielką satysfakcją i przyjemnością patrzeć na jej twarz, zauważać jej reakcję. Nigdy przedtem nie czułem się tak cudownie.

Skoro tylko moja poprawa się ustabilizowała, przeniesiony zostałem na główny oddział. Podniosłem się szybko na duchu i wkrótce przeniesiony zostałem na normalną salę, gdzie leżałem pośród wielu innych chorych. Ciągle byłem pod wrażeniem tego, co się stało. A w ogóle to byłem nieśmiały i wstydlivy. Tylko w czasie, kiedy byłem w harcerstwie, czułem się swobodnie, a to dlatego, że z dnia na dzień byłem z tymi samymi ludźmi. Teraz znalazłem się wśród wielu obcych. Jednak odczucie całkowitej samotności, jakiego niedawno doświadczyłem, będąc niewidzialnym na tym oddziale, dokonało we mnie ogromnych zmian.

Kiedy światła zgasły i ucichły rozmowy, mogłem się położyć i przy świetle nocnych lampek rozmyślałem każdy detal tego niezwykłego wydarzenia, kiedy to Jasność wstąpiła przez ściany tego baraku. Czy ciągle jest tutaj? – myślałem. Czy mógłby być, choćby dlatego, że nie mogliśmy go dostrzec naszymi oczyma? Nabierałem coraz większej odwagi, aby opowiedzieć innym, co widziałem. Odkryć nieco, ale zabezpieczyć się także. Cieszyła mnie obecność ludzi, ale również bałem się narazić na miano dziwaka. Przez długie nocne godziny przypominałem sobie każdy szczegół tej jaskrawej rzeczywistości. Najpierw królestwo piekła, na które mogłem najdłużej patrzeć, gdzie ludzie nie należeli już do Ziemi, ale nie mogli jej opuścić, nie mogli uwolnić się od owych pasji namiętności i pychy, czym umożliwiali dominowanie ich nad sobą. Następnie krótka wizyta w królestwie, gdzie sprawy osobiste były najmniej ważne, a ludzie bez reszty poświęcali się szukaniu prawdy. Zdawało mi się, że jestem w niebie, gdyby nie to, że przez moment zobaczyłem wspańnięte miasto. Ta chwila zaciemniła mi jeszcze bardziej sens moich przeżyć.

Co to wszystko może znaczyć? Dlaczego to właśnie mnie zostało przekazane”? A teraz – co powinienem zrobić?

Te pytania zadawał mi Fred Owen, kołysząc się na przeciw mnie na krześle i cedząc słowa między ciężkim oddechem.

– Czy to spowodowało jakieś różnice? Mam na myśli twoje życie, w tym co robisz? W przeciwnym razie wszystko to bardzo ciekawe, fascynująca podróż na trasie do Boga, ale nie mogę dostrzec w tym czegoś wyraźnie znaczącego.

– Na tamtym świecie... czy zdołałem w pełni dostrzec zawiść, którą tam spotkałem. Jeśli nie utraciłem istoty tej podróży. To nie była wycieczka do nieba, przypomniałem Fredowi. Jeśli w ogóle widziałem niebo to z ogromnej odległości, nieosiągalnej dla ludzi. Jako dwudziestoletni chłopak nie wierzyłem w zanurzenie w otchłani piekła, nie widziałem też ognia piekielnego odnotowanego w Biblii. Lecz to, co widziałem na tamtym świecie było wystarczającym piekłem. Wystarczyło to, żeby w ciągu mego życia wyrzec się postaw, na-



wyków czy też form życia, które tam widziałem. Z całą pewnością ta noc w Teksasie nie była marginesową sprawą mego życia, mówiłem do Freda. W każdej minucie, każdego dnia, po tym doniosłym dla mnie wydarzeniu, byłem świadomy obecności lepszego świata..

Dziwne, że w mej pamięci zachowało się tylko uznanie dla tego świata, a nie cierpienie i strach, które towarzyszyły memu powrotowi na ziemię. Kontrast pomiędzy miłością Jezusa i światem, na którym przyszło mi żyć sprawiły, że pierwszy krok po chorobie był najcięższy w moim życiu. Wiedziałem, że ażeby być w porządku, będę musiał powiedzieć Fredowi i to zupełnie szczerze, co się następnie wydarzyło.

## ROZDZIAŁ IX

Było to trzy tygodnie po wyjściu z mojego ciała i spotkaniu się z Chrystusem, kiedy porucznik Irvine zatrzymała się przy moim łóżku i oznajmiła mi dobrą wiadomość. Akademia Medyczna podtrzymała moje przyjęcie na studia i skoro tylko będę mógł udać się w drogę, mam zgłosić się na uniwersytet. Raz jeszcze mój powrót do zdrowia stał się wyścigiem z czasem. Każdy dzień opuszczonych lekcji powodował zaległości i mniejsze szanse na zdanie egzaminu.

– Musisz dobrze się odżywiać – porucznik Irvine zwykła to stałe do mnie mówić. Nie mamy zwyczaju mówić pacjentom, co ich czeka, ale ja ci powiem, że z całą pewnością nie zostaniesz wcześniej zwolniony, nim nie przytyjesz co najmniej 15 funtów. Toteż nadziewałem się ziemniakami i popijałem mlekiem dotąd, aż czułem, że więcej już nie dam rady zjeść. W końcu pewnego dnia pod koniec stycznia otrzymałem zwolnienie ze szpitala. Stałem wpatrzony w bilet na pociąg, który trzymałem w ręce. Miałem rezerwację na miejsce leżące, na pociąg odjeżdżający z Abilene następnego popołudnia. Był to luksus, który wskazywał na to, że do całkowitego zdrowia było jeszcze daleko. Na moim zwolnieniu odnotowano wagę 134 funty. Było to o 44 mniej niż 178, jakie miałem, kiedy się zgłosiłem do służby wojskowej. Najważniejsze jednak to, że w końcu jechałem na studia medycyny i że ciągle było tam dla mnie miejsce!

Zadzwoiłem do mojej mamy, żeby powiedzieć jej, kiedy pociąg przybywa do Richmond. Pisała do mnie regularnie cały czas, kiedy byłem w szpitalu i zdawała sobie sprawę, że byłem zbyt chory, żeby odpisywać. Byłem bardzo zadowolony, że szpital informował ją o moim stanie zdrowia..

Wpatrywałem się przez okno pędzącego pociągu w przemijające krajobrazy. Texarkana... Little Rock... Memphis... różne pociągi, różne lokomotywy podopinane do mojego wagonu. W zachodniej Virginii zaczęliśmy się wspinać w kierunku Charleston, następnie przekroczyliśmy granicę stanu Covington, Clifton Forge, Wayneboro – jakie to było piękne. Wezbrane strumienie, lasy, gdzie obozowałem z moją drużyną skautów. Następnie w dół, na wschodni brzeg Blue Ridge do Charlottesville i w końcu do Richmond. Robiło się ciemno, kiedy dojeżdżaliśmy do miasta po 48 godzinach podróży. Z okien dostrzegłem duże nasilenie ruchu na ulicach. Serce biło mi jak młotem. Usiłowałem wciągnąć na siebie płaszcz. Z powodu osłabienia jak i podniecenia, związanego z powrotem do domu trzęsły mi się nogi, a ciężar płaszcza przygniatał mnie do podłogi. Poprzez okno wagonu mogłem zobaczyć, że peron stacji wypełniony był podróżnymi w większości umundurowanymi tak jak ja. Zobaczyłem moją matkę. Była znacznie szczuplejsza niż ta, którą pamiętałem. Długie włosy miała spięte pod kapeluszem, szła wzdłuż peronu, prowadząc ze sobą dziesięcioletniego Henryka. Spotkała mnie w momencie, jak schodziłem ze stopni wagonu. Pochwyciła mnie momentalnie w ramiona, podczas gdy Henryk wspinał się na moje plecy. W pierwszej chwili mówiła zbyt wiele, po paru krokach wzięła mój bagaż i skierowała nas w stronę windy zamiast do schodów prowadzących na ulicę. W międzyczasie opowiadała o sytuacji w rodzinie. Bruce Gordon leżała przeziębiona w łóżku. Święta Bożego Narodzenia nie były radosne z powodu taty i mojej nieobecności. Miałem zaproszenie do babci Dabney do Moss Side na jutrzejsze śniadanie.

– Możesz być pewien maślanych bułeczek przed zgłoszeniem się na dziewiątą na uczelni.

Późno w nocy, kiedy Henryk i Bruce Gordon już spali, siedzieliśmy z mamą w dużym pokoju przy świątecznym drzewku, które zachowała aż do dziś.

– George?

Spojrzałem w jej brązowe wpatrzone we mnie oczy.

– Coś ci się przydarzyło George. Czy nie jest to coś, o czym chciałbyś pomówić?

Wzruszyłem bezradnie ramionami, jako dziecko zawsze podejrzewałem, że ona czyta w moich myślach. A teraz w tym znanym mi przytulnym pokoju, ze zdjęciem taty na kominku, stało się coś niezwykłego. Po tygodniach bezowocnych prób zainteresowania kogokolwiek moim wyjściem z ciała, nagle jest ktoś, kto mnie chce wysłuchać. Komu mogę wszystko opowiedzieć, co widziałem i co czułem. Z głębokim zadowoleniem opowiedziałem, jak wyskoczyłem z łóżka, pozostawiając leżących kolegów w szpitalu. Opowiadałem o moim locie do Richmond i o dramatycznym powrocie, szukaniu mego ciała w Camp Berkeley. O Świetlistej postaci i podróży z nią... Słuchała mnie z niezwykłą uwagą, wpatrując się we mnie z napięciem, by nie utracić jednego słowa. W czasie, kiedy to mówiłem, zdałem sobie sprawę, że stało się coś niezwykłego i to nie to, że ktoś po raz pierwszy mi uwierzył – ale to coś niezwykłego dotyczyło mnie, mego wnętrza. Zmienił się mój punkt widzenia.

Od tej chwili nie patrzyłem na nią, jak dotychczas, jak na macochę, lecz dostrzegłem Mary Skeen Ritchie, osobę z jej własnym życiorysem. Pierwszy raz w moim życiu, widziałem w niej odważną, dzielną, młodą kobietę, która podjęła się nie tylko roli matki dla Mary Jane i dla mnie, ale i opiekuna domu, gdzie ojciec przebywał tylko w weekendy. Pomimo że kontynuowałem swoje opowiadanie, to że "słyszałem" w pamięci to, co tata powiedział mi dawno temu, a z czego wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że nasza nowa mama przez trzy lata odkładała zdecydowanie się na własne dzieci, aby w całości poświęcić się wychowaniu Mary Jane i mnie.

Przeszedłem następnie do opowiadania o niebiańskim mieście i jak bardzo chciałem zobaczyć go z bliska. Kiedy o tym mówiłem, zrozumiałem po raz pierwszy, jak dalece zagrożona została babcia Dabney przez małżeństwo taty. Dlaczego tak często powtarzała mi, że Mary Skeen nie jest moją prawdziwą matką. Przypomniał mi się mój upór i wrogość z moich młodzieńczych lat. Teraz widziałem głęboko zatroskaną tymi wydarzeniami, kochającą mnie kobietę.

Kiedy skończyłem moje odpowiadanie, oboje siedzieliśmy dłuższy czas w ciszy.

– George – wyszeptała wreszcie mama – Bóg powierzył ci ogromną prawdę.

Nabierałem przekonania, że robi to ciągle jeszcze. Nawet wtedy, kiedy się z nim w zupełności zgadzałem, nabierałem coraz to nowych zdolności zrozumienia, jak np. zaakceptowanie i zrozumienie mojej nowej matki. Jaka to tajemnicza siła tkwiła w tym prostym opowiadaniu moich przeżyć? Ciekawiło mnie, czego Bóg oczekuje ode mnie po tym spotkaniu. Czyżby to była część odpowiedzi? Właśnie... mówić o tym?

## ROZDZIAŁ X

Lecz jeśli mój przyjazd przedstawiał się nawet lepiej niż przypuszczałem, to początek był znacznie gorszy. Byłem więcej jak miesiąc w tyle za resztą. Kiedy profesor podawał masę słów łacińskich, wszyscy wokół mnie starannie notowali, podczas gdy ja próbowałem odgadnąć, jakiego to dotyczy przedmiotu. Moje zdrowie działało również przeciwko mnie, wyczerpywało mnie niezwykle przechodzenie z budynku do budynku uczelni, a koncentrowanie się na wykładach było bardzo trudne.

W pierwszym roku każdemu studentowi wręczono zwykłą brązową papierową torbę z asortymentem ludzkich kości takich jak: żebro, kość przedramieniowa, różne kręgi. Pewnego dnia gdzieś mi się te kości zapadziały i niespokojny, w poszukiwaniu ich wbiegłem do laboratorium anatomicznego.

– Czy nie widziałeś mojej torby z kośćcami? – zapytałem studenta stojącego w przejściu. Zmierzył wzrokiem moją wychudłą postać. Przecież stoi tu – powiedział.

Stopniowo staczałem się w krąg destrukcji. Wszyscy inni wydawali mi się być zdecydowani i pewni siebie. Po kilku tygodniach zacząłem się czuć jak tępak pomiędzy geniuszami.

Nagle w maju wydarzyło się coś cudownego. Margarite Shell znałem od kilku lat, od czasu, kiedy z jej bratem Bobem uczęszczaliśmy na studia przygotowawcze przy Uniwerstytecie w Richmond. Bob Shell stał

się wkrótce moim najlepszym przyjacielem. Pierwszy raz spotkałem Margarite w jej domu w Lawrenceville, 70 mil na południe od Richmond. Drobna ciemnowłosa, z niebieskimi oczami koloru nieba w kwietniowy poranek, była dla mnie najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. Wiedziałem, że nie mam szans, żeby się z nią umówić. Była niesamowicie popularna, poza tym w tym czasie sympatyzowała z innym kolegą swego brata.

Teraz Bob Shell przerabiał program marynarki na Uniwersytecie w Richmond i pewnej nocy zadzwonił do mnie z rewelacyjną dla mnie wiadomością – Margarite zerwała ze swoim chłopakiem. Zadzwoniłem do niej i zaryzykowałem propozycję spotkania, na co ona się zgodziła.. Momentalnie stanął przede mną problem z uzyskaniem benzyny, w związku z wojennym racjonowaniem. Poprosiłem jednak babcię Dabney o pożyczanie mi pastelowego koloru Oldsmobila i parę kuponów na benzynę do Lawrencesville.

W roku 1941 Oldsmobil był jednym z najładniejszych aut, jakie kiedykolwiek wyprodukowano, opływowe kształty, chromowany przód i zderzaki. Byłem przekonany, że zaimponuję rozmachem. Moja duma się jednak zachwiała w momencie, kiedy Margarite na powitanie spojrzała gdzieś za mnie z pytaniem:

– A gdzie jest Bob?

Mimo że spodziewała się nas obydwu, poszła oczywiście ze mną i spędziliśmy bajeczny wieczór. Po tym spodkaniu, cały swój wolny czas poświęcałem na zdobywanie kuponów na benzynę. W środku lata wiedziałem już, że jeżeli czegoś chcę, to tylko tego, żeby Marguerite była moją żoną. Wiedziałem też, że nie mogę żadnej dziewczyny prosić o rękę bez powiedzenia o najważniejszym wydarzeniu w moim życiu, toteż kilkakrotnie podejmowałem te próby. Za każdym jednak razem zauważałem odcień znużenia na twarzy Margarite i niespokojne odwracanie ode mnie uwagi, pospiesznie więc zmieniałem temat. Byłem przekonany, że całe to wydarzenie uważa za umysłową iluzję.

Zresztą tak jak wiele par w czasie wojny, staraliśmy się wszystko traktować powierzchownie, jakby instynktownie unikając takich tematów jak śmierć i przyszłość. W sierpniu zostałem wezwany do dziekanatu. W małym dusznym pokoju Dziekan powiedział mi, że jeżeli do końca semestru nie uzyskam przynajmniej dobrych ocen z biochemii i bakteriologii, zostanę natychmiast wycofany do odbycia obowiązkowej służby wojskowej. Wypowiedział jednak znacznie więcej nieprzyjemnych refleksji na temat pojemności mojego mózgu i umysłowej niekompetencji tego, ktokolwiek skierował mnie na te studia.

Byłem zbyt przejęty moimi problemami, żeby uświadomić sobie, że ten człowiek tak samo sarkastycznie traktował wszystkich innych studentów, była to część wykalkulowanej strategii. Bez wątplenia wszyscy bali się wyrzucenia przed osiągnięciem wymarzonego tytułu lekarza wojskowego. Dla mnie jednak jego orzeczenie było potwierdzeniem mojej własnej opinii, że jestem za głupi, żeby zostać doktorem.

Przez następne sześć tygodni ślęczałem nad książkami i mikroskopem, a jego słowa dźwięczały mi w głowie jak zacięta płyta. Ostatecznie oceny, jakie otrzymałem z tych dwóch przedmiotów to dostateczna i minus dostateczna.

We wrześniu zostałem znowu wezwany do jego biura. Pierwsze jego słowa szorstkie i oficjalne: przeniesienie do Camp Barkley ze skutkiem natychmiastowym. Przeszeregowanie do czynnej służby zamorskiej. Po czym wypowiedział swoją osobistą uwagę: – Ritchie, jeżeli wrócisz żywy z tej wojny, to postaram się osobiście zadbać o to, żebyś nigdy nie został przyjęty do tej medycznej uczelni i żadnej innej. Zmarnowałeś czas profesorom i reszcie personelu i zająłeś miejsce studentowi, który mógł skorzystać z tej okazji. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będziesz trwonił czasu i środków w zawodzie medycznym.

Nie pamiętam, jak się wydostałem na korytarz. Pamiętam tylko, że widziałem wszystkich, pochłoniętych swoimi sprawami w miejscu, które do nich należało. Zdałem sobie też sprawę, że gdziekolwiek bym się udał, w lewo czy w prawo, na górę po schodach czy na dół – już nic się nie zmieni. Był to najczarniejszy dzień w moim życiu. Były to też moje dwudzieste urodziny.

W dniu, kiedy życie wydawało się zaczynać, moje utraciło swój sens. Co mi pozostało, wracać do ćwiczeń w Texaskim błocie albo wystawić się na kule gdzieś w Europie lub Azji.

Jezu – spytałem załamany, dlaczego nie mogłem zostać z Tobą w poprzednim miejscu.

Na dodatek mama przygotowała dla mnie wielką niespodziankę, wystawne przyjęcie tego wieczoru. Miała przyjść Margarite, która pracowała teraz w Richmond. Miała być także moja siostra Mary Jane, której

mąż był na Pacyfiku, także siostra Margarity z mężem i wielu innych. Musiały być także prezenty, gratulacje i życzenia pomyślnej przyszłości.

Wolno skierowałem się do szafki i jak tylko długo się dało wyjmowałem swoje notatki, książki, moją torbę z kośćcami. Jakże bym mógł prosić Margarite, żeby za mnie wyszła, kiedy nie potrafiłbym jej nawet utrzymać po wojnie, nawet gdybym wrócił.

Jak łatwo by było, nachodziły mnie myśli, iść do laboratorium chemicznego i dobrać składniki... być może mógłbym być głupim doktorem, ale wykłady o truciznach pamiętałem dobrze, byłem pierwszym studentem, który wybrał tę drogę. Ten obraz miałem przed oczyma, tylko przez chwilę, przytoczyły go zaraz inne. To samobójstwo, które przyszło mi na myśl wypełniała zaraz inna myśl. Wspominałem królestwo tych otępiałych duchów, gdzie minuta może kosztować wieki, wspominałem tych, którzy w identyczny sposób próbowali znaleźć wyjście z podobnej sytuacji.

Jeżeli nie jestem w stanie znieść rozczarowania Margarite tego wieczoru, to jak mogłem ścierpieć go w świecie bez czasu. Zobaczyłem te cierpiące oczy. Usłyszałem to bez końca powtarzane "tak bardzo przepraszam", które nigdy nie zostało usłyszane. Widziałem, że wstrząsająca wizja zawsze powróci mi na myśl, jeżeli tylko kiedykolwiek próbowałbym odebrać sobie życie. Poszedłem więc na moje przyjęcie urodzinowe. Zdmuchnąłem świece na moim tortcie, śmiałem się ze wszystkimi z kawałów o tym, jak to dużo doktorzy zarabiają. Po czym, jak wszyscy wyszli, o wszystkim powiedziałem mamie i Margarite.

Były wspaniałe, przypominały mi, że co najmniej jedna czwarta klasy w tym czasie była odrzucana. Jeżeli nie ciebie, zauważyła Margarite, to kogoś innego mogło spotkać to rozczarowanie, co jeszcze bardziej pogłębiło moje przykre uczucie, że muszę pożegnać dziewczynę o tak wspaniałym sercu.

"Natychmiast" w języku wojskowym znaczy oczywiście "z nieokreśloną zwłoką". Toteż upłynęło blisko trzy tygodnie, zanim otrzymałem rozkaz wyjazdu do Camp Berkeley. Odjechałem rankiem z początkiem października razem z trzema innymi studentami medycyny, którzy jak ja nie podołali opanowaniu materiału. Jeden z nich miał starego czarnego Plymouth'a, mogliśmy więc wyjazd ten zorganizować wspólnie.

Byliśmy dość cichą grupą, podróżującą w przepięknych kolorach jesiennego pejzażu. Myślałem o ojcu, który był gdzieś we Francji. Wielka inwazja na Francję o kryptonimie Day miała miejsce cztery miesiące temu i jednostka mojego taty postępowła za pierwszym natarciem w głąb Francji. W tym czasie ojciec dokonał wielkiego wyczynu. Jego oddział zmusił Niemców do opuszczenia ogromnych kopalń torfu we Francji i Belgii, które były bogatymi rezerwuarami paliwa. Zabezpieczenie tych pokładów przed zatopieniem, uznane było przez wielu ludzi za jedno z najniezwykleszych osiągnięć. Zadanie to było kierowane przez mojego tatę. Operacja "Torf" trwała sześć tygodni. Tata uznany został za bohatera. Jego nazwisko wymieniane było w wiadomościach z frontu i oficjalnych raportach.

A jego syn? Zniestawiony jedzie do koszar, dokładnie tam, gdzie był trzynaście miesięcy wcześniej. Jedynym jasnym punktem na moim żalonym horyzoncie był list, który przyszedł z Francji od mojego ojca, nadmieniający, że możliwy jest jego przyjazd na Święta Bożego Narodzenia.

Rodzinny dom! Wszyscy razem! Z wyjątkiem... mnie. Pierwszego dnia dojechaliśmy do Cincinnati, nie rozmawiając wiele, każdy z nas mocował się prawdopodobnie z myślami takimi jak moje. Następnego dnia odpoczywaliśmy nieco, zmieniając się przy kierownicy, opowiadaliśmy o dziewczynach i o rybach, któreśmy złowili, a które się zerwały – o wszystkim z wyjątkiem szkoły medycznej i wojny. Louisville, Memphis, trzeciego dnia po południu dotarliśmy do Mississipi, następnie jechaliśmy wzdłuż rzeki z zamiarem przekroczenia jej w Vicksburg. Po obu stronach rzeki rozlegał się obszerny widok pustych pól po kukurydzy i trzcinnie cukrowej, wypalonych jesiennym słońcem.

Przed nami, na ogromnej równinie rozpościerał się Vicksburg. Pete kierował, reszta rozglądała się za drogowskazem do mostu, który był pokazany na mapie. W mieście Pete jechał wzdłuż rzeki. Widzisz, jakiś drogowskaz – rzucił do mnie przez ramię, miałem obserwować lewą stronę. Nie odpowiedziałem. Przez ostatnie kilometry wyschły mi usta, żołądek uciskał. Coś w tym układzie ulic wydawało mi się nieprawdopodobnie znajome. Wiedziałem, że nigdy wcześniej tu nie byłem, ale wiedziałem też dokładnie jak będzie wyglądało nabrzeże rzeki za następnym zakrętem. Jakie będzie skrzyżowanie? To tutaj, tak, to na pewno tutaj. Wszystko nagle stało się jasne. Miniemy parę ulic i będzie neonowy napis nad drzwiami "CAFE".

– O jest na lewo – Kolega siedzący obok Pete’a zauważył wielki napis przy skrzyżowaniu.  
– Most musi być w tyle, w tę stronę.  
Pete zwolnił samochód i położył rękę na kierunkowskazie, kierując się w lewą stronę.  
– Proszę cię Pete – mój głos brzmiał ochryple – nie zatrzymuj się, jedź prosto. Kolega, który zauważył drogowskaz, odwrócił się do mnie.  
– Ależ napis wskazuje w tę stronę.  
– Wiem o tym, ale chciałem parę ulic przejechać w tym kierunku. To wszystko – powiedziałem.  
Pete wyprostował koła.  
– Jak daleko? – zapytał, jadąc wolno na przód.  
Serce biło mi za mocno, żeby mówić. Na następnym skrzyżowaniu po mojej stronie znajdował się nocny klub z czerwonym dachem. Neonowe litery nad drzwiami nie świeciły w dziennym świetle, ale jarzyła się reklama piwa w oknie z prawej strony. Tutaj po chodniku szedłem z mężczyzną, który nie mógł mnie dostrzec. Była też budka telefoniczna, przy której stałem tak długo... Jak długo? W jakim wymiarze czasu i w jakim rodzaju ciała?  
– Stań! – krzyknąłem do Pete przejeżdżającego obok małej restauracyjki. Pete podjechał do krawężnika i znowu zauważyłem wymownie wlepione we mnie jego oczy.  
Była to najzwyczajniejsza ulica, jak dziesiątki innych, którymi przejeżdżaliśmy od wyjazdu z Richmond.  
– Myślałem, że nigdy nie byłeś w Missisipi – powiedział Pete. Mokną ręką trzymałem drzwi. Chciałem wyskoczyć z auta, przelecieć ulicę, dobiec do słupa telefonicznego, złapać tego telefonistę, złapać i potrząsnąć nim. Otworzyć drzwi do restauracji, wejść, rozglądać się. Zapytać, która godzina? Cokolwiek, byle usłyszeć swój głos, usłyszeć odpowiedź.  
Cofnąłem się w głąb siedzenia i odwróciłem wzrok od małej białej restauracyjki.  
– Wydawało mi się, że coś zauważyłem – powiedziałem po głębszym zastanowieniu.  
Co mogłem powiedzieć, że byłem tutaj pewnej nocy, kiedy leżałem w szpitalu w Texasie?  
Pete skręcił niecierpliwie w kierunku drogowskazu zauważonego poprzednio. Ja w tym czasie wyznaczałem na mapie trasę: Abilene, przez Texas, przez Arkansas, Luisianę...  
Prosta linia na wschód z Abilene do Vicksburg w Missisipi.  
Kiedy jechaliśmy dalej wzdłuż rozległej rzeki, jakiś głos we mnie krzyczał:  
“Tak to było tutaj! Vicksburg w Missisipi. To tutaj zatrzymałem się po bezcielesnym, błyskawicznym locie. Tutaj się zatrzymałem i rozmyślałem, stąd wróciłem z powrotem”.

## ROZDZIAŁ XI

Tym razem byłem tylko dwa tygodnie w Camp Barkeley. Żołnierze, z którymi odbywałem poprzednio ćwiczenia, zostali oczywiście rozestani na linii frontu, rozsiane po całym świecie, a na ich miejsce przybyły następne transporty rekrutów. Z powodu mojego częściowego medycznego przeszkolenia zostałem przydzielony do Korpusu Medycznego – Administracyjnego, do kompanii mającej pełnić służbę w szpitalu. W międzyczasie odbywałem ćwiczenia jak wszyscy inni w Camp Barkeley. Marsze po dziesięć godzin dziennie, w kurzu raniącym oczy i zatykającym gardło. Cały swój wolny czas poświęcałem początkowo wyjazdom do szpitala w poszukiwaniu porucznik Irvine.

– Miałaś przykrą przeprawę w życiorysie – odrzekła, kiedy jej opowiedziałem o swoim niefortunnym występie w szkole medycznej. Przecież nie wróciłeś jeszcze do normy, kiedy stąd wyjechałeś, wiesz o tym. Pójdzie ci lepiej następnym razem, po wojnie. Wydawała się być pewna siebie, nie powiedziałem jej o tym, co powiedział Dziekan Wydziału.

Natomiast chciałem jej powiedzieć o tym, co mi się wydarzyło w czasie przejazdu przez Vicksburg, jak zobaczyłem małą restauracyjkę z napisem “CAFE”, przy której zatrzymałem się, kiedy wędrowałem po opuszczeniu ciała w tym szpitalu.

Nieszczęsne usiłowania opisania moich przeżyć wobec Margarite podsunęły mi pewną myśl. Opowiadanie o tych wydarzeniach ma wielką siłę, jaką Bóg może wyzwolić. Lecz musi to być w Jego czasie, tak jak to było z matką w dużym pokoju tej nocy, kiedy powróciłem do Richmond. Nie mogło to natomiast być coś takiego, jak to miało miejsce z Margarite, kiedy narobiłem tylko totalnego zamieszania.

Z początkiem listopada zostałem przerzucony do Camp Ruckerey w Alabamie do nauki obsługi technicznej przy prowadzeniu operacji w 123 Szpitalu Polowym.

Bitwa o Belgię była w toku, jednostka 123. miała być zorganizowana i skierowana na front tak szybko, jak tylko było to możliwe. Miałem tylko jeden tydzień przed dniem Dziękczynienia na szybką podróż z Alabamy do Virginii i krótką wizytę u Margarite i mojej rodziny. Mama ciągle spodziewała się przyjazdu taty na Święta. Cała moja uwaga skoncentrowała się teraz na zobaczeniu się z nim. 123. załadowany został na pociąg do Camp Rucker w wieczór Wigilijny 1944 r. i skierowany do Camp Kilmer w New Jersey. Tej nocy próbowałem zasnąć na siedząco, moje myśli powracały do poprzedniej Wigilii, kiedy to zbudziłem się w szpitalu z bólem w piersiach, z wyrwą w pamięci o najbardziej kochanej Postaci, jaką kiedykolwiek znałem.

Gdzie On przebywał do tego czasu? Jezus, którego spotkałem nie mógł się zmienić, ani też przeminąć. Ta Jasność penetrowała moją wyobraźnię bez względu na czas i miejsce. Sprawy, które nie były dla mnie jeszcze jasne, teraz stawały się zrozumiałe. Dlaczego nie spowodował On innego przebiegu wydarzeń, które tak ciężko mnie ostatnio dotknęły. Czegoż ty oczekujesz? – mówiłem do siebie. Czy ktokolwiek, kto miał przeżycia tak jak ja, kto choćby na moment dojrzał Miłość ponad wszechświat, mógłby się dalej zajmować sprawami zewnętrznymi. Ale ja się tego nie wyzbyłem. Okropnie byłem wściekły na zawadiackiego sierżanta siedzącego trzy rzędy przede mną, który wypełniał przedział smrodem z cygara. Złościło mnie, gdy inni ze 123. w większości z wielkich miast żartowali z mojego południowego akcentu i drobnomieszczańskich nawyków. Zamiast nabyć zdolność odrzucania, bagatelizowania tych błachostek, zauważyłem, że złościła mnie więcej niż kiedykolwiek.

Następnego ranka pociąg stał dłuższy czas na bocznicach, gdzieś na trasie. W oddali była droga, czasem mogłem dostrzec mignięcie świateł samochodowych. Wtem coś mną wstrząsnęło i poczułem paskudny ucisk w gardle. Stoimy przecież w Acca tuż przy Richmond. Nieco ponad kilometr od mojego domu! Tu przecież, w starej dzielnicy Richmond, była kiedyś lokomotywnia kolei Fredericksburg i Potomac.

To tutaj dziadek Dabney miał mnie zwyczaj przyprowadzać, żebym mógł oglądać lokomotywy. I ten most! Przejechałem go na rowerze z tysiąc razy, kiedy jeździłem z domu do Moss Side. Był to poranek Bożego Narodzenia i moja rodzina była półtora kilometra stąd. Po drugiej stronie tego zagajnika. Ogromna tęsknota za domem przeniknęła mnie na wskroś. Ciekaw byłem, czy Henry i Bruce Gordon już wstali. Zawsze byli pierwsi w Świąteczny poranek. Czy tata przyjechał wczoraj do domu? Po tak długiej rozłące na setki kilometrów, byliśmy teraz już tylko kilkaset metrów od siebie. Około siódmej rano, usłyszałem gwizd lokomotywy i skrzypienie kół. Pociąg ruszył znowu. Przyspieszając, zwalniając, to znów stając, dotarliśmy po całym dniu do Camp Kilmer – najdłuższym w moim życiu dniu Bożego Narodzenia. Z budki telefonicznej w kosharach zadzwoniłem natychmiast do rodziny. Tata był w domu. Dojechał w dzień Wigilijny. Nasz dzień odpłynięcia nie był znany, ale ogłoszono dwunastogodzinną przerwę. Nie było dość czasu aby dostać się do Richmond, ale mogłem dojechać do Washingtonu z powrotem. Tak też zdecydowaliśmy. Moja rodzina pojechała pociągiem z Richmond do Washingtonu, ja wyjechałem w tym czasie z New Jersey. Zobaczyłem ich na głównym peronie, nim jeszcze pociąg się zatrzymał. Najpierw zauważyłem szpakowatego mężczyznę, stojącego przy mamie. Kiedy tata wyjechał do Europy, miał całkiem czarne włosy. Teraz jego włosy i wyraz twarzy mówiły o tym, co przeszedł.

Tata mówił tylko o wesołych sprawach – jak świetnie wszyscy wyglądacie, jak wiele ciekawych rzeczy zobaczą we Francji. Mieliśmy tylko pół godziny, aby móc porozmawiać w zatłoczonej poczekalni, po czym ogłoszono odjazd mojego pociągu. Machałem im tak długo przez okno, aż znikli mi w tłumie wielu innych, rozdzielonych wojną ludzi.

## ROZDZIAŁ XII

123 Szpital Polowy załadowany został na "SS Brasil" w dzień Nowego Roku 1945. W tym czasie Czerwony Krzyż obdarował nas batonikami, a orkiestra grała *My Mama Done Tol Me*.

Trzy dni później, na północnym Atlantyku konwój uderzony został przez wściekły sztorm. 123. był załadowany na najwyższym pokładzie okrętu, tuż poniżej mostku kapitańskiego. Fale sztormowe uderzały aż do tej wysokości i woda wlewała się do kabin przez szpary pod drzwiami. W tej sytuacji jedyna potrawa, jaką kuchnia mogła zaserwować, były jaja na twardo. Większość jednak cierpiała na chorobę morską i nie chciała słyszeć o jakimkolwiek jedzeniu.

Na dodatek grasowały w tym rejonie łodzie podwodne. Zagrożeni zatopieniem siedzieliśmy w napięciu, usadowieni jeden nad drugim, całkowicie wsłuchani w to, co dzieje się poniżej, co może w każdej chwili być eksplozją, w głębi wody. Rozglądając się dokoła zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy, które dotyczyły mojego samopoczucia: po pierwsze perspektywie storpedowania, a po drugie ewentualnego dostania się w tej lodowatej wodzie do łodzi ratunkowej. Byłem tak przerażony, jak ci obok mnie. Przycichanie łoskotu silników przyprawiało mnie o panikę graniczącą z bólem. Byłem tak okropnie przerażony jak nigdy dotąd. Jeśli jednak chodzi o samą śmierć, to nie tylko się jej nie obawiałem, ale wolałem nawet, żeby nastąpiła. Mogłbym być z Nim! Z dala od tego nieszczęśliwego świata, gdzie ludzie przekraczają ocean, żeby zabijać innych, a nawet tutaj między nami tak mało jest dobroci.

O 4<sup>00</sup> rano szóstego stycznia "SS Brasil" zakotwiczył w gęstej mgłę, w pobliżu francuskiego portu Le Havre. Z nastaniem dnia stłoczyliśmy się przy balustradzie, żeby ujrzeć po raz pierwszy Europę. Powoli podniosła się ciężka szara mgła, odsłaniając cumy i strzepy lin. Port był zbyt wypełniony wrakami, żeby można było płynąć dalej, toteż dostaliśmy się na brzeg w małych łodziach, po czym pomaszerowaliśmy do rzędu otwartych ciężarówek i zostaliśmy odtransportowani do Camp Lucky Strike, położonego w centralnym miejscu sześćdziesięciomilowej wyspy.

Większość żołnierzy skupiła się przy burtach ciężarówki, szukając schronienia przesywającym wiatrem. W czasie, gdy powoli przebijaliśmy się przez miasto wstałem, starając się jak najwięcej zrozumieć z tego, co tu się wydarzyło. Gdy tak patrzyłem na rozprute domy, w których powiewała na wietrze tapeta, myślałem o ojcu i jego zmienionej twarzy i siwych włosach. Miałem teraz więcej wyobrażenia, jak mogła wyglądać inwazja.

W Lucky Strike ustawiliśmy namioty i rozłożyliśmy się na łózkach, starając się odzyskać czucie w stopach. Następnego ranka staliśmy przed namiotami, kiedy do koszar wpadł Jeep, a jego kierowca krzyczał coś o kolumnie wraków. Skupiliśmy się koło jego pojazdu, aby dowiedzieć się, co się stało. Chodziło tu o amerykański oddział z naszego statku "SS Brasil", który załadowany został na pociąg. Nasza jednostka, załadowana na najwyższy pokład, zesłała jako pierwsza i jako została przetransportowana drogą. Całą resztę ze statku, parę tysięcy żołnierzy i ekwipunek ładowano przez dzień i na noc, na pociąg i niewielkie francuskie ciężarówki.

Stało się to po północy. Po załadowaniu pociąg ruszył w stronę stacji Valeryen Caux. W pewnym momencie w dziwny sposób pociąg skierowany został na mało używany boczny tor i przy pełnej szybkości rozbił się o ścianę budynku. Nigdy nie wyobrażałem sobie takiej rzeźni. Niektórzy zginęli na miejscu, ale większość rannych, uwięzionych w środku, wołała o pomoc.

Przydzielony zostałem do pomocy kapitanowi w organizowaniu pierwszej pomocy. Nasze medyczne wyposażenie nie zostało jednak rozładowane z okrętu. Poprzez długi czas dzieliliśmy z doktorem jedną parę nożyczek do bandaży i strzykawkę, którą mogliśmy robić tylko kilka zastrzyków morfiny. Po raz pierwszy widziałem cierpienie ludzkie na wielką skalę. Pragnąłem tylko jednego – ulżyć ludziom w bólu.

A to, z czym dzisiaj się często spotykamy, to cierpienia jednych ludzi zadane nam przez drugich. Coraz bardziej przerażało mnie przekonanie, że my chcieliśmy uczynić to samo tym drugim – kto w końcu chce żyć na tym świecie?

Na koniec tego czarnego dnia, kiedy ostatni ambulans został odesłany do szpitala, uświadomiłem sobie, że niektórym wolno jest opuścić tę marną egzystencję, podczas gdy ja wyznaczony zostałem do zostania. Widziałem dzisiaj moich kolegów umierających, z wyjątkiem bólu i cierpienia zazdrościłem im tego. Dlatego

go tylko nasza jednostka nie została załadowana na pociąg? Pytanie to powracało do mnie ciągle, przez następne tygodnie rozmyślałem o tym, że tak mało dzieliło mnie od przeskoku do Jego Królestwa. Z Camp Luky Strike 123. Polowy, przerzucony został do Rethel we Francji, ponad 500 km. Na wschód, do obsługi oddziałów walczących w strefie frontowej. Ustawiliśmy tam pola namiotowe, kwatery do spania, kasyno zorganizowaliśmy w porzuconym dworku z powybijanymi szybami.

Tutaj, w czasie kiedy opiekowałem się rannymi i umierającymi, moja tęsknota do śmierci stała się obsesją. Byłem przekonany, że uratowanie mi życia to po prostu, skazanie mnie na dalsze życie, to odrzucenie mnie przez Istotę, dla której miłość była wszystkim. Pewnego razu, kiedy tak siedziałem na drewnianej kłodzie, z tyłu domku, prosząc Go, żeby mnie znowu zabrał, poderwał mnie nagły wrzask sierżanta.

– Wstawaj! Natychmiast do namiotu C, do sierżanta z rozwalonymi nogami.

W namiocie byłem od razu. Marynarka lotnika leżała na podłodze, kiedy go zobaczyłem, przeleciał mnie dreszcz.

– Cześć, nazywam się Jack Helms, a jak ty się nazywasz?

Patrzył na mnie przez zamglone z bólu i morfiny oczy. Był w moim wieku. Paskudnie był poharatany, ale kiedy powiedziałem mu, jak się nazywam, chciał czegoś więcej się o mnie dowiedzieć. Skąd jestem, co lubię, czy mam braci i siostry? Rozmawianie pomaga zapomnieć o bólu – powiedział.

Kiedy go przebierałem – pytałem również. Powiedział, że jest z El Dorado w Arkansas. Pracował jako kierowca w restauracji. Dzisiaj rano Jepp, którym kierował wpadł na minę lądową. Doktor, który sprawdzał jego stan, polecił mi utrzymywać czysto rany. Kiedy go opatrzyłem, nie było właściwie powodu, żeby przy nim stać, ale coś w nim było takiego, co mnie zatrzymywało. Nie lubił, gdy go nazywano sierżantem. Przypominał mi kogoś, ale nie mogłem sobie skojarzyć kogo. Był przystojny o śniadej twarzy i brązowych oczach, a w uśmiechu miał coś, czego się nie zapomina. Kiedy się tak zaśmiał od ucha do ucha, cały ten zabłocony namiot pojaśniał.

Opatrzyłem mu zranione kolana i wiedziałem, że musi cierpieć. Jack nigdy nawet o tym nie wspomniał, wydawał się być więcej zainteresowany moimi problemami niż jego własnymi. Kiedy opowiedziałem mu o swoich niepowodzeniach na studiach medycznych, przekonywał mnie gorąco do ponownego podjęcia nauki po wojnie. Teraz najbardziej chętnie mówił o mojej wspaniałej przyszłości jako lekarza.

Kiedy powiedziałem mu o Dziekanie, który zapewnił mnie, że do tego rodzaju szkoły więcej się nie dostanę, roześmiał się swoim słonecznym uśmiechem i powiedział: Ludzie mówią różne rzeczy. Domyślam się, że go może nawet nie być w tej szkole, kiedy ty powrócisz.

Pracowałem jako technik medyczny. Moja praca obejmowała wszystko – od noszenia tac i naczyń przyłóżkowych, do robienia zastrzyków i różnego rodzaju posyłek. Podobnie jak inni technicy musiałem dość dużo się nalatać w czasie mojej służby. Teraz ku mojemu zdziwieniu, zostawałem dłużej, pracowałem ponad wyznaczone godziny. Kogo mi ten Jack przypominał i dlaczego czułem się tak dobrze, kiedy z nim przebywałem?

Zaciekawiło mnie, że już na drugi dzień jak był w szpitalu, przyjechał major lotnictwa i zapytał o sierżanta Helms. W sztywnym systemie zależności służbowej, pomiędzy oficerami i podwładnymi, nie było specjalnie miejsca na kontakty pozasłużbowe. Kiedy wskazałem mu drogę do namiotu "C", to mimo tych zasad, major usiadł przy nogach, Jacka rozmawiając przez pół godziny. Jack powiedział mi później, że był to ten oficer, który z nim jechał, kiedy wpadli na minę.

– To naturalne, że troszczy się o mnie.

Zauważyłem, że to, co dla Jacka było naturalne, było czymś niezwykle dla normalnego, powszechnego postępowania. Dla mnie najbardziej zadziwiające nie było to, że major odwiedzał Jacka lecz to, że Jack tak samo traktował i witał majora jak sierżanta czy też mnie, tak niskiego stopniem technika, który zmieniał jego prześcieradła. Po tygodniu Jack podniósł się i próbował chodzić. Chociaż to nie było w czasie moich godzin służbowych, starałem się mu pomóc i tak kulejąc, wyszedł ze mną na pierwszy spacer wokół budynku, następnie wzdłuż drogi prowadzącej do Rethel.

Pozornie pomagałem rannemu lotnikowi w odzyskaniu zdrowia. Ale właściwie to zdawałem sobie sprawę i myślę, że Jack również, że jeszcze większe uzdrowienie przebiegało u mnie. Rozmawialiśmy o wszystkim



w czasie tego spaceru, o szkole, dzieciństwie, karierze zawodowej i cały czas rośnie we mnie przekonanie, że znałem Jacka już wcześniej. Był głęboko zaangażowanym chrześcijańskim protestantem, chociaż chodził do katolickiego kościoła z rodzicami, którzy go zaadoptowali, traktując go niezwykle serdecznie.

I naraz, bez zupełnego przygotowania, tak całkowicie w naturalny sposób, jak to było z moją mamą, zacząłem mówić o nocy, która nastąpiła po moim wyjściu ze szpitalnego kina i poproszeniu sanitariusza o parę aspiryn. Z łatwością potrafiłem mu opowiedzieć o ambulansie i prześwietleniu o moim locie do Vicksburg w Missisipi i usiłowaniu porozumienia się z przechodniami. Po raz drugi byłem w stanie opowiedzieć o moich przeżyciach. Mógłbym powiedzieć – widząc zdziwienie na jego twarzy, że nigdy o czymś takim nie słyszał. Przez moment nie wątpił jednak w to, co mówiłem. Opisałem jasność, która wstąpiła do tej separacji. Jak moje całe życie zostało przedstawione w jednej chwili w świetle miłości...

Zatrzymałem się, kierując wzrok na Jacka. To magiczne odczucie, że już go wcześniej znałem, to dziwne wrażenie miałem od pierwszego dnia, że spotkałem się z dobrze znanym przyjacielem. To był Chrystus, który patrzył na mnie cały ten czas oczami Jack'a Helmsa! Przychylność, troska, radość. Oczywiście poznaje to! Spotkałem się z tym w szpitalu w Texasie i teraz tysiące kilometrów dalej, na zboczach Francji spotkałem to znowu. Było to wprawdzie echo tamtych czasów, przekazane przez człowieka, ale wiedziałem w końcu, od kogo ta wiadomość pochodzi.

Tak głęboko pogrążyłem się w myślach, że skręciliśmy spowrotem do bazy. Na pewien czas rozmowa się przerwała. Jack nie przymuszał mnie do kontynuowania przerwanej opowiadania, wydawał się na swój szczególny sposób wiedzieć, że coś nadzwyczajnego zaabsorbowało mój umysł. Samotność, w jaką popadłem w ostatnim okresie mojego życia, wyobcowanie ze świata i inne towarzyszące temu przypadłości zostawiłem tutaj, nie odczuwałem już wcale pragnienia powrotu do tamtych chwil, kiedy byłem świadomy Jego obecności. Ale czy jest możliwe, aby go kiedykolwiek jeszcze spotkać? W tej cudownej Istocie, którą spotkałem, jest jego teraźniejszość. Jest wszechobecny i nic bez Niego nie istnieje. Zauważyłem nagle, że nie było słuszne z mojej strony, szukanie Go w przeszłości, nawet jeśli to było tylko piętnaście miesięcy temu.

Tego popołudnia uświadomiłem sobie, że jeśli chcę odczuć bliskość Chrystusa – a chciałem tego ponad wszystko – to mogę Go odnaleźć w ludziach, których On przedstawia mi każdego dnia.

Wróciliśmy na teren szpitala i to przekonanie przewijało się wciąż przez moją głowę. Przeszliśmy na tył budynku, gdzie leżały trzy kłody, na których siedziałem dwa tygodnie temu, modląc się o szybką śmierć. I nagle pojąłem coś jeszcze, w tym dniu pełnym spostrzeżeń. Ta modlitwa została wysłuchana. W znaczeniu, które nigdy by mi nie przyszło do głowy, ja rzeczywiście zmarłem. Po raz pierwszy od wielu miesięcy przestałem żalić się nad sobą, czy też się obwiniać – rozprysły się wszystkie myśli, dotyczące samego mnie – dawno przecież nie zadbałem o kogoś jeszcze.

Teraz rany Jacka i jego wyzdrowienie były jedyną rzeczą, w której byłem bez reszty zaangażowany przez ostatnie dwa tygodnie. W trosce o niego szczęśliwie utraciłem zapatrzenie w siebie.

W utraceniu siebie odkryłem Chrystusa. To było dziwne – myślałem – w Texasie też musiałem umrzeć, żeby Go spodkać, żeby się jeszcze raz narodzić. Zastanawiało mnie, czy rzeczywiście zawsze musimy umrzeć, utracić jakąś zatwardziałą część naszej osoby, przez którą nie możemy dostrzec Jego obecności? Jack został w szpitalu tylko jeden dzień i powrócił do bazy. W czasie tego tygodnia nasza przyjaźń scementowała się jeszcze bardziej i trwa do dnia dzisiejszego.

Przechadzka z nim po wiejskiej drodze we Francji, była dla mnie początkiem tego momentu, kiedy połączone zostały moje pośmiertne doświadczenia z Berkeley w Texasie z resztą mego życia. Po raz pierwszy zarzuciłem starania o uzyskanie wizji Jezusa z Tamtego Świata, a zacząłem Go szukać w twarzach bliskich mi ludzi. Nie było to łatwe dla młodego żołnierza, który całe swoje życie spędził w małym miasteczku w południowym stanie. Rzymscy katolicy, Żydzi, Murzyni – rosnę w wierze, że ludzie ci nie tylko są różni ode mnie, ale i nie są tak dobrzy. I Jezus w swej łasce skierował mnie do 123. Polowego. Początek zrozumienia dał mi Jack, ponieważ tak było najlepiej, najłatwiej dla mnie, po prostu musiałem zobaczyć Jezusa w Jacku. Dużo jednak później zdołałem zobaczyć Jezusa w Żydzie z Nowego Yorku, we Włochu z Chicago, w czarnym Murzynie z Trenton.

Odkryłem jeszcze coś, co z początku bardzo mnie zastanowiło. Im lepiej potrafiłem odnajdywać Jezusa

w innych ludziach, tym mniej przytłaczały mnie ich cierpienia i śmierć, z którymi spotykałem się codziennie. Wyglądało to jak dwie sprzeczności, im więcej znajdowałem miłości u innych ludzi, tym trudniej dostrzegałem ich cierpienie. Nie było to w pełni zrozumiałe, lecz w jakiś sposób działało – i znowu powróciłem myślami do teksańskich przeżyć. Odświeżałem w pamięci główne chwile, w których cieszyłem się Jego obecnością. Przypominałem sobie jednak również inne sceny. “Królestwo”, gdzie sceny agonii były znacznie gorsze niż rozbicie pociągu w St. Valery. Powiedziałem kiedyś sobie, że muszę opuścić ten świat, ponieważ widziałem lepsze miejsce. Zdałem sobie sprawę, że to nie była prawda; mimo wszystko widziałem wspanialsze rzeczy, niż można sobie wyobrazić, ale i straszliwsze o wiele okropniejsze niż są na ziemi. Dlaczego zła strona tamtego świata, nie przeraziła mnie tak dalece, jak zło rozplenione na tej ziemi?

Zacząłem znowu czytać Biblię w moim namiocie i pewnego dnia doszedłem do Psalmu, który wydawał się pomocny dla mnie. “Gdy wstąpię do nieba”, czytałem w psalmie 139, “tam jesteś – jesteś przy mnie, gdy się w Szeolu położę”.

Oczywiście, że to jest odpowiedź; to Jezus jest obecny w tej scenie o Szeolu. To było jego światło i Jego miłosierdzie w miejscu, gdzie widziałem grozę i tam był promień nadziei, nawet w piekle. Kiedy wojna w Europie się skończyła, w maju 1945, 123. Polowy przerzucono do Niemiec wraz z oddziałami okupacyjnymi. Wcielono mnie do grupy skierowanej, do obozu koncentracyjnego w pobliżu Wupertalu, w celu udzielenia pomocy medycznej oswobodzonym więźniom. Wielu z nich było Żydami z Holandii, Francji, wschodniej Europy. Było to dla mnie najbardziej druzgocące przeżycie, jakiego do tej pory jeszcze nie doznałem. Wiele już obcowałem z nagłą śmiercią i kalectwem, ale teraz zobaczyłem w ogromnej skali straszliwe skutki powolnego wygłodzenia ludzi. Było to dla mnie straszne, kiedy musiałem przejść wzdłuż baraków, gdzie tysiące ludzi, przez lata było krok od śmierci.

Niestety dla wielu był to proces nieodwracalny. Wbrew naszym wysiłkom i stosowaniu wszystkich dostępnych lekarstw i żywności, wielu z nich umierało codziennie na naszych oczach. Teraz potrzebowałem nowego mocnego wsparcia. Kiedy te okropności były dla mnie nie do zniesienia, robiłem to, czego nauczyłem się do tej pory. Szedłem od jednego końca do drugiego, tego wstrząsającego, okolonego drutem kolczastym widowiska i patrzyłem w twarze tak długo, aż ujrzałem twarz Chrystusa.

Tym sposobem poznałem Wild Bill Cody. Nie było to jego prawdziwe nazwisko, które składało się z siedmiu nie do wypowiedzenia polskich sylab. Miał ogromne obwisłe wąsy, jak bohater z Dzikiego Zachodu, na starych amerykańskich obrazach. Amerykańscy żołnierze nazwali go więc Dzikie Bill. Był jednym z więźniów tego obozu, ale oczywiście nie mógł być długo; jego postawa była bezbłędna, oczy świecące, niespożyta energia. Ponieważ tak samo biegle władał angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim jak swoim polskim językiem stał się nieoficjalnym tłumaczem w obozie. Przychodziliśmy do niego z problemami wszelkiego rodzaju. Praca administracyjna przyprawiała nas codziennie o zawrót głowy, kiedy usiłowaliśmy wysłać do domów ludzi, których całe rodziny, a czasem całe rodzinne miasta znikły z powierzchni ziemi. Zdziwiający jednak było to, że pomimo, iż Wild Bill pracował piętnaście i szesnaście godzin na dobę, to nie wykazywał w ogóle zmęczenia. Podczas, gdy reszta z nas opadała z sił, on wydawał się rosnąć w siłę.

– Mamy jeszcze chwilę czasu dla tych starych druchów. Czekają na nas cały dzień – mawiał.

Współczucie dla współtowarzyszy jaśniało na jego twarzy i to była ta jasność, której szukałem, kiedy czułem się załamany. Jakież było moje zdziwienie, kiedy pewnego dnia przełożono nam dokumenty Dzikiego Billa i jak się okazało, ten człowiek przebywał w obozie Wupertal od 1939 roku!

Przez sześć lat był tak samo wygładzany jak inni, spał w tych samych dusznych, chorobotwórczych barakach i to bez najmniejszego uszczerbku na zdrowiu tak fizycznym, jak i psychicznym. Być może, jeszcze bardziej zadziwiający było to, że wszystkie grupy w obozie traktowały go jak swojego przyjaciela. Był tym, któremu powierzano rozstrzyganie sporów pomiędzy więźniami. Już po krótkim pobycie zauważyłem, że ten kocioł więźniów różnych narodowości nienawidził się prawie tak samo, jak nienawidził swych ciemniejszych Niemców. A Niemców nienawidzono tak dalece, że w pewnym obozie po wyzwoleniu, zdrowi więźniowie pochwycili za broń, polecili do najbliższej wioski i po prostu wystrzelali pierwszych napotkanych po drodze Niemców. Byliśmy zobowiązani do zabezpieczenia przed tego rodzaju ekscesami i znowu Wild Bill był naszym nieocenionym pomocnikiem, rozmawiał z różnymi grupami, nakłaniając ich do przebaczenia.

“Dla wielu z nich nie jest łatwo zapomnieć”, powiedział pewnego dnia, kiedy przygotowywaliśmy herbatę w kuchni. “Niektórzy utracili wszystkich członków rodziny”.

Wild Bill usiadł na krześle i wolno popijał kawę.

– Mieszkaliśmy w żydowskiej dzielnicy Warszawy – rozpoczął spokojnie. Były to pierwsze słowa, jakie mówił o sobie. – Z żoną, dwoma córkami i trzema chłopcami. Kiedy Niemcy doszli do naszej ulicy, postawili wszystkich pod ścianę i roztrzelali z karabinów maszynowych. Błagałem ich, aby roztrzelali mnie razem z rodziną, ale ponieważ mówiłem po niemiecku, dołączyli mnie do grupy robotników.

Przerwał na chwilę, być może ujrzał znowu żonę i pięcioro dzieci. W tym momencie stanąłem przed decyzją – kontynuował – czy mogę pozwolić sobie na zniechęcenie żołnierzy, którzy tego dokonali. Była to naprawdę łatwa decyzja.

Byłem prawnikiem. W mojej praktyce zbyt często widziałem, co może spowodować nienawiść z umysłem i ciałem. Nienawiść przecież zabiła sześć osób, które były dla mnie najważniejsze na świecie. Zdecydowałem się wreszcie spędzić resztę mojego życia – czy to ma być kilka dni, czy wiele lat – kochając każdą osobę, z którą się spotkam. Kochanie każdej osoby... to była ta siła, która trzymała człowieka w formie, pomimo jego niesamowitych przeżyć! To była ta sama moc, jaką pierwszy raz spotkałem w izolatce w Teksasie i poznawałem dalej, przez każdego, którego zechciał On przekazywać swą mądrość – bez względu na to, czy ten człowiek był świadomy Jego działania, czy też nie.

Powróciłem do Stanów po wypełnieniu mojej służby wojskowej, w Niemczech na wiosnę 1946 roku. Z Margarite ożeniłem się następnego roku. Kiedy nadszedł odpowiedni moment, opowiedziałem jej o swoich przeżyciach w Teksasie. Tym razem ze znacznie lepszym skutkiem, niż próbowałem dwukrotnie, poprzednio. Pomogło to nam we wzajemnym zrozumieniu siebie i bardziej nas do siebie przywiązało.

W międzyczasie przekonałem się, że Jack Helms przewidywał słusznie. Dziekan, który przyrzekł nie dopuścić mnie do ponownych studiów na Medical College of Virginia, nie pracuje tam już. Na studia przyjął mnie dr Sidney Negus, profesor, który dał mi poprzednio tak niską ocenę z biochemii. Tym razem zdecydowany byłem nie popełniać poprzednich błędów. Spodziewałem się kłopotów, kiedy zainteresowany spotkaniem z Jezusem zajmę się sobą. Jednak tym razem, bardziej doświadczony, nie dałem się przygnieść błachostkom. Przeszedłem przez semestry bez większych trudności.

Już na początku mojej kariery zawodowej odkryłem to, o czym wiedzą zresztą wszyscy lekarze, że medycyna nie daje odpowiedzi na wszystko. Kiedy utknąłem, co często się zdarzało, modliłem się o zdrowie pacjenta – cicho wewnątrz siebie – prosząc Jezusa o pomoc w postawieniu właściwej diagnozy, przepisaniu właściwego leczenia. Ponadto wraz z Margarite wypracowaliśmy zwyczaj modlenia się za pacjentów codziennie wieczorem.

Czytałem też systematycznie Biblię. Trochę to zabawne, że w czasie niedzielnych nauk Biblia wydawała mi się nudna i trudna. Natomiast od pamiętnych wydarzeń w Teksasie, stała się po prostu opisem faktów z życia. Kiedy Jezus powiedział do rybaków: “Chodźcie ze mną” – oczywiście rzucili wszystko i poszli za Nim – kto mógłby się oprzeć?

Kiedy powiedział: “Jestem światłem tego świata” – dało się to po prostu zauważyć.

Zauważyłem pewną zależność. Moje doświadczenia w Teksasie ułatwiły mi zrozumienie Biblii, ale też i czytanie Biblii pomogło mi rozumieć to, co się wydarzyło. Czytając wciąż od nowa relację z Ukrzyżowania, rozumiałem w końcu, czym jest nasze zapewnienie zmartwychwstania – w Jego obecności! Zrozumiałem to pomimo okropności, jakich doświadczyłem, To nie było potępieniem mnie.

Miałem się przekonać, stojąc w świetle Jego zmartwychwstania, że wszystko jest już spłacone, że jesteśmy odkupieni. Dlaczego to ja byłem wciągnięty w tę kosmiczną akcję? Czy to może dzięki służbie kościelnej, kiedy miałem jedenaście lat. Nie wiem. Ale, czytając Biblię, zaczynałem rozumieć, jak w Jego planie ważne jest wszystko to, co nas dotyczy na tej Ziemi.

Jak straszliwie się myliłem, prosząc o zabranie mnie z tej Ziemi, nim jego praca nade mną została zakończona. Myślałem o nędznym życiu dusz, które widziałem w przyziemnym królestwie, pojmanyh przez nienawiść i zmysłowe żądze, skierowane do materialnych rzeczy, których nigdy nie są w stanie zrealizować. Każda z nich w jakimś sensie nie dokończyła rozwijania się na Ziemi, niezależnie od tego, czy żyła

krótco, czy długo. Nie miałem wątpliwości, że wielu młodych ludzi, którzy nieszczęśliwie polegli w Europie, osiągnęli swój cel, jaki im Bóg wyznaczył na Ziemi, przez co mogli zbliżyć się do Niego. Ale oczywiście nie ja. Z tym ześrodkowaniem na mojej osobie, z moim uprzedzeniem i poczuciem krzywdy, jak ja śmiałem prosić o śmierć? A ta równina zatłoczona najbardziej nieszczęśliwymi istotami, jakie kiedykolwiek widziałem, każda domagająca się swego wywyższenia ponad innych, gardząca wszystkimi, pragnąca zniweczenia... czy ja faktycznie takiego życia pragnąłem w przyszłym świecie?

Czy właściwie kiedykolwiek dotąd osiągnąłem na mej drodze punkt, w którym mógłbym powiedzieć: zrobiłem wszystko, czego mogłem dokonać na tej Ziemi?

## ROZDZIAŁ XIII

Pewnego wieczoru w 1952 r. – było to gdzieś w środku grudnia – usiadłem w dużym pokoju i przeglądałem ostatni „Life”. Wydanie pełne było reklam szynki i pieczonego indyka z rozweselonym Świętym Mikołajem na każdej stronie. Przerzucałem strony bez większego zainteresowania, kiedy nagle palce moje zatrzymały się. Na stronie był rysunek ogromnej, przestrzennej konstrukcji z przekrojami, uwidaczniającymi ludzi i maszyny wewnątrz. Były tam między innymi suwnica okalająca zbiorniki i liczne schody. W dolnym rogu była niewielka sterownia. Poczujęm uścisk w gardle, ale nie z powodu tej wizji przyszłości, ale pewności, że to już gdzieś widziałem i nie ostatnio, kiedyś dawno temu. Zacząłem więc wgłębiać się w detale rysunku.

Widziałem już te schody, wynurzające się z ogromnego zbiornika wody. Ale... czy to możliwe?

Przeglądając tekst, zauważyłem, że to prawie niemożliwe.

*W ubiegłym tygodniu Biuro Energii Atomowej uchyliło nieco rąbka tajemnicy i zezwoliło artyście gazety „Life” na zrobienie pewnych rysunków detali prototypu drugiego silnika, amerykańskiej atomowej łodzi podwodnej i tego zadziwiającego pomieszczenia, w którym się znajduje. Budowa jego przebiega w pobliżu Schenectady NY. Będzie to największa konstrukcja zbudowana przez człowieka, o kubaturze dwa miliony dwieście tysięcy dwadzieścia pięć stóp. Dalej artykuł mówił, że dla uniknięcia ewentualnego zagrożenia przez radioaktywność, naukowcy zdecydowali się zbudować silnik wewnątrz tej konstrukcji, a następnie dla przeprowadzenia testu zatopić w ogromnym zbiorniku. Zabezpieczone – opuściłem gazetę na kolana. Byłem pewny, że widziałem tę całą operację i na dodatek nigdy nie wybierałem się do Schenectady. Kiedyś to widziałem, a teraz jest to w budowie. To, co już widziałem było wykończone i już działało, toteż nie było innego wyjaśnienia jak... Tak, już pamiętam. Byłem wtenczas w tej przeogromnej uczelni, gdzie istoty były okryte habitami. Było to w roku 1943 czasu Ziemskiego. Chodziłem po tym ogromnym budynku z dziwnymi, niezrozumiałymi dla mnie urządzeniami. Co to było za królestwo? W jak dziwny i tajemniczy sposób powiązane z życiem na tej Ziemi, gdzie teraz w 1952 roku wygodnie sobie siedzę. Margarite rozmawia przez telefon, a kartki świąteczne stoją rzędem na kominku.*

Pomyślałem o tym zdumiewającym stwierdzeniu filozofów, że pewne pomysły wydają się skąś spadać jednocześnie na Ziemię. Zacząłem się martwić o moje życie doczesne. Jak długo Jezus jest moim przewodnikiem, nie muszę się wprawdzie martwić, ale od czasu mojego wyjścia z ciała, dziesięć lat temu – spotkałem wielu tak zafascynowanych światowymi sprawami i „duchem” świata, że utracili oni wgląd na swojego ducha. Tego wieczoru nabrałem pewności, że nadszedł czas, żeby zacząć publicznie mówić o tym, co przeżyłem z Chrystusem. Jeżeli faktycznie wступujemy w wiek atomowy bez znajomości siły, która go wytworzyła, to krótką sprawą może być zniszczenie siebie na ziemi. Nie jest też sprawą samego duchowieństwa głoszenie prawdy. Każdy, kto tylko zetknął się z Bogiem, moim zdaniem, ma obowiązek i odpowiedzialność mówić o tym.

I znowu wypełniłem Jego czas. Ja, któremu trudno było wypowiedzieć publicznie dwa słowa, zacząłem mówić do grup młodzieży w klubach, w kościołach, do każdego, kto był gotowy słuchać, że Bóg jest miłością, a wszystko poza nim jest piekłem. Jeżeli chodzi o moją karierę zawodową to byłem pewny, że to będzie dla mnie ruina, bez wątpienia traciłem pewnych pacjentów, którzy nie byli chętni powierzyć siebie „religijnemu fanatykowi”. Lecz co dziwne, że ci, o których najbardziej się obawiałem, często byli bardziej niż in-

ni przekonani do moich wypowiedzi. Kiedy wystąpiłem o zatrudnienie mnie w Szpitalu Uniwerstyteckim w Virginii, przyjaciele poradzili mi, żeby przez jakiś czas nie opowiadać o moich przeżyciach. Pierwszą osobą, która przeprowadziła ze mną wywiad był doktor Wilfred Abse, profesor psychoanalizy i analitycznej psychoterapii w Departamencie Psychiatrii – jedną z najpoważniejszych osób Towarzystwa Psychoanalitycznego w Virginii. Na tym pierwszym spotkaniu dr Abse powiedział do mnie: – No więc, doktorze, Ritche rozumiem, że masz takie odczucia, że spotkałeś Chrystusa! Zobaczyłem swój angaż do Szpitala Uniwerstyteckiego wylatujący przez okno. Dr Abse był Żydem, analistą Freuda i zadał mi pytanie, na które muszę udzielić teraz odpowiedzi. W trudnych dla mnie sytuacjach, często w myśli zadawałem sobie Pytanie: “Panie!, co mam teraz odpowiedzieć?” **Zaprzyj się mnie przed ludźmi – zdawałem się słyszeć – a ja zaprę się Ciebie przed moim Ojcem.**

– Doktorze Abse – powiedziałem – nie mogę więcej zaprzeczać rzeczywistości, która mi się wydarzyła w Barkeley w Texasie, jak Saul z Tarsus nie mógł zaprzeczać tego, co mu się wydarzyło na drodze do Damaszku. Myślałem, że moje szanse na uzyskanie zatrudnienia w charakterze psychiatry przepadły z krete-sem. Jakaż była to miła niespodzianka, gdy parę tygodni później otrzymałem list, zawiadamiający mnie o zaakceptowaniu mnie przez komisję kwalifikacyjną. Później, kiedy już dr Abse i ja byliśmy przyjaciółmi, powiedział mi, że ta właśnie rozmowa miała faktycznie krytyczne znaczenie. Wszyscy z nas wiedzieli, że doznałeś rewelacyjnych przeżyć po wyjściu ze swego ciała. Gdybyś przez moment zdradził, że tego nie było, z pewnością bym cię nie zaakceptował. Uważałbym bowiem, że jesteś dalece niepewną osobą i najprawdopodobniej zrujnowaną emocjonalnie, która nie jest w stanie odróżnić faktów od fantazji.

W moim gabinecie oczywiście, rzadko nadmieniałem o moim osobistym widzeniu Boga. Tylko w tym wyjątkowym przypadku z Fredem Owen, naruszyłem moją zawodową zasadę.

Czy ty wiesz, dlaczego przychodzę do gabinetu wcześniej rano? – spytałem go pewnego dnia, kiedy dyskutowaliśmy o moim pobycie w Texasie – zanim wszyscy lekarze przyjdą? Ponieważ w tym czasie modłę się za każdego pacjenta, którego zobaczę w ciągu dnia. Wierzę, że Jezus ma notatki i czas dla każdego z nas i modłę się, żebyśmy z jego pomocą pacjent i ja mogli być o tym przeświadczeni. Jeżeli Jezus dawał Fredowi Owen tylko tygodnie życia, zamiast lat, w ciągu tych tygodni możesz przebaczyć i otrzymać przebaczenie. Możesz uwolnić się od balastu złości od jakiegokolwiek ciężaru, którego nie chciałbyś wnieść do królestwa, gdzie wszystko jest Jasnością. Nie wiem oczywiście, co z tego wpłynęło do najskrytszych zakątków serca Freda Owen, nawet najlepsze wysiłki psychiatry są ograniczone tym, co pacjent jest gotowy ujawnić. Wiem jednak z pewnością, że człowiek, który miał ostatnią wizytę 9 maja 1977 roku był całkiem inną osobą niż ta, która przeszła na pierwszą sesję w grudniu. Fizycznie był oczywiście starszy, sąsiad przywoził go do gabinetu i leżał przez cały czas rozmowy na sofie. Lecz to, co mówił do mnie w przerwach ciężkiego oddechu, ten spokój, nawet humor w jego oczach, napawały mnie wielkim zadowoleniem. Walczył ze swoim pracodawcą o zapłacenie przez zakład pracy ubezpieczenia, w tej sprawie musiałem wypełnić dziesiątki druków. W tym tygodniu otrzymał ostateczną odmowę na tej podstawie, że porzucił pracę bez wymaganego, pisemnego wypowiedzenia.

– Wiesz co – powiedział – oni mają rację. Porzuciłem pracę, ponieważ byłem wściekły i chciałem im zrobić kłopotów. Tylko teraz, to ja mam te kłopoty. Wydźwięk nie brzmiał jednak dla mnie przykro, ponieważ był to prawdziwy śmiech od serca, bez cienia goryczy. – Jest tak jak miało być – kontynuował. – Jak widzisz nadeszły żniwa. W porównaniu do tego, co się dowiedziałem w międzyczasie, to utrata ubezpieczenia jest drobnostką. Oczywiście żaden człowiek nie może osądzać po śmierci drugiego człowieka. Gdy jego sąsiad zawiadomił mnie 24 maja o śmierci Freda Owen, bez trudności wyobraziłem sobie co najmniej ten zadziwiający moment przejścia. Narastająca jasność światła. Radość w sercu z poczucia dobrze wypełnionej pracy. Bóg jest zajęty budowaniem takiego człowieka, który by wiedział, co to jest miłość. Wierzę, że los naszej Ziemi zależy od postępu, jaki zdołamy osiągnąć na tej drodze, i że ten czas jest teraz bardzo krótki.

Wierzę również, że to co spotkamy w przyszłym świecie i to, co zdołamy odkryć na Ziemi, zależy od tego, jak dalece potrafimy kochać tutaj i teraz.

K O N I E C

